

*Kilka uwag od tłumacza.*

Tekst w zwykłych nawiasach został zamieszczony przez Tadeusza. Natomiast ten w kwadratowych to mój własny komentarz.

Na końcu książeczki znajdują się mapy.

Ghana odzyskała niepodległość w roku 1957.

## **Tadeusz Maria Wiszniewski [1917-2005]**

nota biograficzna

przełożył Leonard Wąsowski

Niedawno podczas rozmowy z dobrymi znajomymi, zapytali mnie oni, czy moje wnuczęta ciekawi przeszłość swego dziadka. Po namyśle musiałem powiedzieć, że nie. W samej rzeczy żadne z nich nie zadało mi ani jednego pytania dotyczącego mojej osoby. Słyszac to, moi przyjaciele zasugerowali, abym spróbował zrobić jakieś notatki dotyczące mojej przeszłości, aby pewnego dnia, po moim odejściu, istniał dokument dotyczący mojego życia, które może być uważane za ciekawe i dość niezwykle. Nie mając wcześniej doświadczenia w pisaniu po angielsku, który to język nie jest moim ojczystym, stałem w obliczu trudności zdecydowania, jak podejść do zadania stworzenia spójnego i czytelnego dokumentu. Moje życie można podzielić na trzy główne okresy: **1.** Okres międzywojenny. **2.** Druga Wojna Światowa. **3.** Okres powojenny. W ostatnim można wyróżnić mniejsze przedziały: **(a)** doświadczenia angielskie **(b)** doświadczenia afrykańskie **(c)** doświadczenia kanadyjskie. W obrębie tych ram spróbuję narracyjnie przedstawić zdarzenia mające znaczenie dla mojej osoby i okoliczności w jakich się znalazłem.

### **1. Między wojnami światowymi**

Urodziłem się 18 października 1917 roku, w części Polski okupowanej dłużej niż wiek przez Imperium Austro-Węgierskie, nieco ponad rok przed zakończeniem Wielkiej Wojny i wskrzeszeniem niepodległej Rzeczypospolitej, co było wypełnieniem Traktatu Wersalskiego podpisanego w 1918 roku. Moi rodzice pochodzili z klasy posiadaczy ziemskich, w owych czasach uważanej za klasę uprzywilejowaną, i w czasie mojego przyjścia na świat mieszkali we dworze w wiosce Dźwiniacz w majątku, który moja matka wniosła jako małżeńskie wiano w 1907 roku. Miałem pięcioro rodzeństwa: najstarszego brata Jana (1908), trzy siostry: Teresę (1910), Annę (1912), Krystynę (1914), i brata Stanisława (1915), z których wszyscy urodzili się we dworze w wiosce Horyhlady, będącym w posiadaniu ojca.

Po wybuchy Pierwszej Wojny Światowej Horyhlady znalazły się na linii frontu zaciekle bitew między armiami Austrii i Rosji, ojciec przeniósł więc rodzinę do Dźwiniacza, który był mniej narażony na walki i stwarzał większą szansę na przetrwanie niż Horyhlady, w których dwór został w końcu zrównany z ziemią podczas działań zbrojnych. W owych czasach porody odbywały się w domach przy asyście położnej, i mój kolejny brat Andrzej urodził się w Dźwiniaczu w maju roku 1920. Ojciec miał tytuł doktora praw, ale nigdy nie praktykował tego zawodu, gdyż jego głównym zajęciem było zarządzanie majątkiem w Horyhladach, o

wielkości około 600 hektarów (ukończył rolnictwo na niemieckich uniwersytetach w Lipsku i Wrocławiu). W roku 1920 wybuchła wojna między Polską i Rosją, i mój ojciec, nie mający żadnego żołnierskiego doświadczenia, zaciągnął się na ochotnika w stopniu szeregowca do polskiej armii i służył w niej przez kilka miesięcy aż do zwycięskiego końca wojny. We wczesnych latach dwudziestych odbudował zniszczony dwór i budynki gospodarcze w Horyhladach i w 1923 wszyscy przenieśliśmy się z powrotem z Dźwiniacza. W domu mieliśmy bonę powszechnie zwaną „dama”, co było prawdopodobnie dziecięcym zniekształceniem słowa „madame”, ale, jak to często się zdarza, nazwa przyłgnęła do niej na zawsze. Była Francuzką o nazwisku Marie Louise Mour, wdową po mężu zabitym w Indochinach [dzisiejszy Wietnam] kilka lat wcześniej, która wyemigrowała do Polski, gdzie zarabiała na utrzymanie jako bona. Po polsku potrafiła powiedzieć tylko kilka słów, wynikiem czego wszystkie dzieci lepiej lub gorzej posiadały francuski jako swój pierwszy język.

Grunty uprawne w Horyhladach rozciągały się wzdłuż północnego brzegu rzeki Dniestr, wznosząc się na jakieś 30 metrów ponad położone tuż nad rzeką i okresowo przez nią zalewane łąki, od wioski o tej samej nazwie na wschodzie do wsi Ostra na zachodzie. Las należący do majątku porastał wzniesienie wysokie na ponad 100 metrów na południowym brzegu rzeki. Najbliższa stacja kolejowa i poczta znajdowały się w Niżniowie oddalonym o 12 km po drugiej stronie rzeki, którą można było latem przekroczyć promem, zdolnym za jednym razem zabrać jeden zaprzęg koński. Kiedy z powodu wylewów lub innych przyczyn prom nie działał, trzeba było jechać do najbliższego mostu, co wydłużało trasę do 25 km. Podczas zimy rzeka zamarzała na 2 lub 3 miesiące, i rzekę można było przebyć po lodzie w saniach ciągniętych przez konia.

Wszystkie prace rolnicze prowadzone były za pomocą koni i sprzętów przez nie ciągniętych, pracujących koni w majątku musiało więc być około 60, plus kilka rezerwowych. Polska była krajem zniszczonym przez wojnę, i jak pamiętam, zawsze w zastoju gospodarczym, niskie ceny ziarna i innych produktów rolniczych nie uzasadniały ekonomicznie użycia traktorów, które były zbyt drogie w utrzymaniu. To samo dotyczyło podróżowania i moi rodzice nigdy nie mieli samochodu. Podróżowaliśmy wyłącznie zaprzęgami konnymi i pociągami. Chociaż należeliśmy do klasy uprzywilejowanej i bogatej, moi rodzice byli zawsze bardzo oszczędni i żyli według potrzeb, unikając okresowych długów, nadużywanych przez niektórych właścicieli ziemskich by podnieść standard życia. Wieś zamieszkiwało około 2000 ludzi, biednych rolników z małymi spłachetkami ziemi, kurczących się w wyniku podziału majątku między dzieci przez wiele pokoleń, w związku z czym rolnicy posiadający 4-6 hektarów byli uważani za bogatych. Nie istniał żaden godny wzmianki przemysł, który byłby w stanie wchłonąć nadwyżkę zwiększającej się populacji skazanej na pozostanie na ziemi niebędącej w stanie zapewnić utrzymania. Skutkowało to nieomal feudalnymi stosunkami, większość mieszkańców wioski zarabiała na utrzymanie przy dworze, pracując za pieniądze, drewno na opał, przywilej wypasania bydła lub część plonów, które pomagała zebrać, wykonując wszystkie prace własnymi rękami. Większość chłopów była Ukraińcami, ale to raczej wyznanie dzieliło ludność wioski niż przynależność narodowościowa. Ukraińcy wyznawali prawosławie, Polacy zaś katolicyzm. W wiosce były dwie szkoły, polska i ukraińska. Była prawosławna cerkiew ze stałym, żonatym księdzem, oraz rzymskokatolicka kaplica, zbudowana przez mojego ojca, do której co trzecią niedzielę przyjeżdżał parafialny ksiądz z plebanii oddalonej o 7 km. Mój młodszy brat i ja mieszkaliśmy tam przez cały czas do roku 1928, uczeni przez bonę. Czasami to się zmieniało i mieliśmy dwie. Pod koniec roku szkolnego musieliśmy zdawać egzamin w mieście powiatowym w szkole, co gwarantowało konieczny poziom naszej edukacji i odpowiednie stopnie, by móc

starać się o przyjęcie do szkół w kraju. Mam kilka wyrazistych wspomnień z tego okresu, dotyczące wizyt w warsztacie stolarza, który wytwarzał wozy, łącznie z kołami i wszystkimi innymi rzeczami potrzebnymi do pracy na farmie. Do jego obowiązków należało też utrzymywanie w dobrym stanie uprzęży dla 40 koni używanych do prac polowych. Innym warsztatem zapamiętanym przeze mnie był zakład kowalski podkuwający konie i wyposażający wozy w stalowe osie i opony. Andrzej i ja często biliśmy się, ale on konsekwentnie mi odpłacał za wszystkie kusańce i nigdy nie chciał się poddać mimo mojej niewątpliwej, 3-letniej przewagi wzrostu i siły. Pamiętam, że nasz ojciec postanowił nas nauczyć walca wiedeńskiego. Pokazał nam krok podstawowy, nastawił płytę na ręcznie nakręcanym gramofonie, i polecił nam ćwiczyć. Okazało się to trudniejsze, niż na początku przypuszczałem, ale ćwiczyliśmy przez pewien czas, i ja jako prowadzący uznałem, że skoro Andrzej popełnił błąd, powinien zostać ukarany. Ponieważ otwarte kłótnie wywoływały gniewny grymas ojca, zacząłem go ukradkiem szczypać, na co Andrzej odpłacił mi tym samym. Skończyło się na tym, że tańczyliśmy, podczas gdy z jego oczy lały się łzy, które w końcu zostały dostrzeżone i zostaliśmy zapytani o przyczynę. Będąc wychowani według zasady, by nie paplać, obydwaj milczeliśmy zachowując kamienne twarze, i w rezultacie zostaliśmy obaj ukarani. Inne wspomnienie dotyczy butelki czerwonego wina, które jakoś zdobyliśmy, i które zostało przez nas zabrane w ustronne miejsce, gdzie została otwarta, i gdzie próbowaliśmy wypić zawartość przy pomocy małego, emaliowanego kubka, zabranego w tym celu. Wino było gorzkie i smakowało okropnie, wróciliśmy więc do domu po trochę cukru, ale pomimo naszych wysiłków uczynienia go smaczniejszym wciąż było wstrętne. Graniczyło z cudem, że nikt nie poczuł wina w naszych oddechach, i jakoś się nam upiekło, ale przez wiele lat czułem awersję do wytrawnego wina.

W 1928 mama wynajęła mieszkanie we Lwowie, ponieważ nadszedł czas dla Andrzeja i dla mnie, by pójść do szkoły. Od tego czasu mieszkaliśmy razem z dwoma starszymi braćmi, Janem i Stanisławem, do 1936 roku, razem z mamą prowadzącą dom, kucharką i służącą, przywiezionymi z Horyhlad. Ojciec został w domu, by doglądać gospodarki, i przyjeżdżał do Lwowa dosyć rzadko w interesach. Podczas świątecznych przerw w nauce w Boże Narodzenie i Wielkanoc, trwających 3 tygodnie każda, całe rodzeństwo, włączając Tereskę, Hanię i Krystynę, które kształciły się i kwaterowały u sióstr niepokalanek, oraz Jan i Stanisław, uczęszczający do szkół we Lwowie, przyjeżdżało do domu. Boże Narodzenie obchodzone było w tradycyjny polski sposób, z wigilią spędzoną na czczo, oraz głównym posiłkiem, składającym się głównie z potraw rybnych, podawanych około 6 wieczorem na stole przykrytym białym obrusem, pod którym umieszczona była cienka warstwa siana, jako wspomnienie żłobu. Na początku mój ojciec brał opłatek, przygotowany na tę okazję, i łączył się z każdym wymieniając pocałunki i życzenia. Po kolacji wszyscy przenosiliśmy się do salonu, gdzie pod choinką czekały prezenty (po jednym dla każdego). Najpierw śpiewaliśmy kolędy, po czym wręczano prezenty, i można było wreszcie zjadać wyrabiane w domu słodczyce, które obok również w domu zrobionych ozdób wisały na choince. Około godzinę przed północą wyruszyliśmy saniami na pasterkę w kościele parafialnym w Koropcu, oddalonym o jakieś 7 km.

Wielkanoc była obchodzona z zachowaniem postów w Wielki Piątek, i sprawiało mi wielką radość, że w ten dzień na śniadanie dostawałem czarną herbatę zamiast codziennej porcji mleka. W niedzielę wielkanocną, po mszy świętej w kaplicy wybudowanej przez ojca w naszej wiosce, wizytowanej zawsze tego dnia przez księdza, podawano obiad składający się z zimnych mięs i ciast, co umożliwiało służbie odpoczynek od ich codziennych obowiązków.

Podczas letnich wakacji w lipcu i sierpniu wszyscy wracali do domu, również ze szkolnymi przyjaciółmi zapraszani przez nas, czasem na całe lato. Główną atrakcją był niezmiennie Dniestr, płynący przez naszą własność, z gruntami ornymi położonymi na lewym brzegu i lasem zajmującym prawy, wyższy i opadający nad brzeg skarpą. By dostać się nad rzekę z domu należało przejść płaską łąkę używaną jako pastwisko dla mlecznego bydła rasy Simentaler, kilkakrotnie zalewaną podczas powodzi, co czyniło rzekę szeroką wtedy na ponad kilometr w tym miejscu. W zwykłych warunkach rzeka miała 100 do 150 metrów szerokości ze zwawszym nurtem w węższych miejscach. Dno było kamieniste, i trudno było po nim chodzić boso, co zniechęcało nas do wczesnej nauki pływania. Na brzegu mieliśmy płaskodenną łódź wiosłową, podobną do tych, jakie używali lokalni rybacy, oraz jeden lub dwa kajaki ze sklejki, każdy zdolny pomieścić dwie osoby. Posiłki podawała służąca lub kamerdyner, zawsze o jednakowej porze: śniadanie o 8, obiad o 12, herbatę o 4 i kolację o 8 wieczorem. Było nie do pomyslenia aby spóźnić się na którykolwiek z posiłków. Do innych form rozrywki należała jazda konna i gra w tenisa na betonowym korcie.

W maju 1935 szczęśliwie ukończyłem szkołę i zdałem maturę, która w Polsce była dla każdego prawdziwym punktem zwrotnym. Składała się z szeregu pytań, identycznych w całym kraju, oraz części ustnej, składanej później przed wyznaczoną komisją. Zdany egzamin upoważniał do dalszej edukacji na uniwersytecie. Kwalifikował również mężczyzn do wstępowania do szkół oficerskich jako kadetów na czas trwania obowiązkowej służby wojskowej. Ogólnie otwierał wiele możliwości, które w przypadku oblania byłyby nieosiągalne. Innymi słowy był to warunek sine qua non [bez którego nie ma] sukcesu. Gdy było po wszystkim, pomyślałem, że chciałbym pójść na uniwersytet, by studiować rolnictwo, ale ojciec zdecydował, że powinienem najpierw spędzić rok jako praktykant na innej farmie, gdzie mógłbym zdobyć nieco praktycznego doświadczenia i przekonać się na własnej skórze, czym pachnie rolnictwo. W rezultacie spędziłem następny rok w 200-hektarowym majątku zwanym Grabownica Sozańska w pobliżu Dobromila, powszechnie znanym jako doskonale zarządzane i wydajne przedsięwzięcie prowadzone przez Edwarda Janeckiego, człowieka z wykształconego w branży rolniczej na uniwersytetach w Polsce i na Węgrzech. Podczas tego roku wkrótce odkryłem, że praca na roli wymaga czegoś więcej niż zabawa i gry, wliczając ciężką pracę. Moje obowiązki dotyczyły głównie nadzoru, ale zachęcano mnie, bym spróbował każdej z prac, której doglądałem. Mój dzień zaczynał się o 4 dojeniem, wykonywanym ręcznie 7 dni w tygodniu, po czym o 6 podawano śniadanie. Brałem udział we wszystkich zajęciach, które, zależnie od pory roku, były wykonywane w gospodarstwie. W ten sposób nauczyłem się każdej z prac wykonywanych przez pracowników, oczywiście wyłącznie własnymi rękami, gdyż nie było tam ani traktorów, ani elektryczności.

W październiku 1936 zakwalifikowałem się na 4-letnie studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Poznańskiego, umożliwiające zdobycie tytułu inżyniera. Nie było mi dane ukończenie tych studiów, ponieważ 1 września 1939 wybuchła wojna, a wraz z nią skończył się świat, który dotąd znałem.

## **2. Druga Wojna Światowa**

Pogłoski o zbliżającej się wojnie zaczęły się na wiosnę 1939, ale gdy późnym latem wielka liczba mężczyzn, którzy wcześniej ukończyli obowiązkową służbę wojskową, została powołana do swych jednostek, pogłoski zmieniły się w pewność. W tym samym czasie ojciec otrzymał rozkaz dostarczenia dużej ilości zboża dla armii, jak również wielu koni.

Rankiem 1 września usłyszeliśmy przez radio, że niemieckie samoloty zaczęły bombardowanie polskich miast o trzeciej rano, a niemiecka armia wkroczyła na teren Polski wzdłuż jej zachodnich granic. Przez kilka pierwszych dni przekazywano bardzo małą ilość informacji o sytuacji na froncie, ale nawet te przekazywane były zupełnie poplątane. W radio można było często usłyszeć zakodowane wiadomości odnoszące się do niemieckich ataków lotniczych, ale ogólnie panował ponury nastrój, i łatwo było się domyślić, że jest gorzej, niż zakładano.

Horyhlady znajdowały się w południowo-wschodnim narożniku kraju, i wkrótce zaczął płynąć strumień uchodźców z zachodu wraz z wiadomościami odnośnie szybkich niemieckich postępów wzdłuż frontu. Powiedziano nam, że najwyraźniej plan dla polskiej armii przewidywał wycofanie się na wschodnią rubież, gdzie można będzie zorganizować efektywną linię obrony na linii bagien Prypeci wzdłuż granicy polsko-radzieckiej. Uchodźcy przybywali do Horyhladów w nadziei przetrwania do końca wojny tak daleko od frontu, jak to tylko możliwe.

17 września nadeszły wieści o wkroczeniu sowieckiej armii do Polski wzdłuż wschodniej granicy. Na początku nie było jasne, czy przyszli jako wrogowie, czy jako sprzymierzeńcy, by walczyć z Niemcami, ale wkrótce stało się oczywiste, że mają konszachty z Hitlerem. Następnego dnia do wsi przyjechał ciężarówka pełna sowieckich żołnierzy, i ich dowódca powiedział chłopom, że powinni pójść do dworu i zabrać z niego wszystko, co tam znajdują. Wkrótce dwór i budynki gospodarcze zostały splądrowane, a po kilku dniach przybył komisarz NKWD w asyście dwóch żołnierzy i aresztował ojca, który został zabrany do więzienia w powiatowym mieście Tłumacz, gdzie zebrano większość lokalnych właścicieli ziemskich. Kilka tygodni później wszyscy zostali deportowani w głąb Rosji [Związku Radzieckiego], i nie było od nich żadnych wieści, aż po wojnie moja mama spotkała jednego z deportowanych, Andrzeja Jakubowicza. Opowiedział, że więźniowie byli przetrzymywani w przerażających warunkach w więzieniu w mieście Nikołajew, i pewnego ranka na początku roku 1940 dwóch strażników weszło do celi i brutalnie zabrano na zewnątrz ojca i innego mężczyznę, A. Komornickiego. Nigdy więcej nic już o nich nie usłyszał.

Po upadku Związku Sowieckiego wiele tajnych dokumentów zostało ujawnionych opinii publicznej, i między innymi w Polsce opublikowano listę Polaków straconych przez KGB. Znajdowało się tam nazwisko ojca.

Po aresztowaniu ojca poszedłem z siostrą Hanią do Niżniowa, małego miasteczka oddalonego o 12 km, gdzie znajdowała się najbliższa stacja kolejowa jak również klasztor sióstr niepokalanek. Siostra mojej mamy była tam zakonnicą i mieliśmy nadzieję, że pozostała część rodziny znajdzie schronienie w klasztorze. Nasze nadzieje wkrótce rozwiąły się. Siostry były przerażone. Klasztor został już przeszukany kilka razy, i spodziewały się kolejnych kontroli, nie wchodziło więc w grę wpuszczenie kogokolwiek, w szczególności zaś członków klasy kapitalistów nazwanych „wrogami ludu” bez poważnych konsekwencji. Rozczarowani, poszliśmy na stację kolejową, by dowiedzieć się coś o bieżącym rozkładzie jazdy, gdy na stację wjechał pociąg. Ku naszemu zaskoczeniu jednym z wychodzących pasażerów był nasz brat Staś, lekarz w służbie wojskowej. Miał na sobie znoszone cywilne ubranie. Powiedział nam, że kiedy jego jednostka została zaatakowana, udało mu się uciec, pozbyć munduru i wyruszyć w drogę do Horyhlad, by dowiedzieć się, co się stało z resztą rodziny. Gdy rozmawialiśmy, podeszło dwóch funkcjonariuszy nowoutworzonej służby bezpieczeństwa i zażądali dokumentów, a ponieważ ich nie mieliśmy zostaliśmy aresztowani. Zabrano nas do budynku jakiegoś urzędu, i umieszczono w małej piwnicy, gdzie przebywało już kilku innych więźniów, głównie lokalnych chłopów. W celi nie było żadnych mebli. Tuż

pod sufitem znajdowały się dwa małe okienka, było ciemno i duszno. Wkrótce potem przyszedł oficer NKWD i zaczął przesłuchiwać więźniów. Każdego traktował w taki sam sposób, krzyżąc „przyznaj się”, a gdy ktoś go pytał, do czego ma się przyznać, odpowiadał, że to pytającemu jest dobrze wiadome, oraz że on wie o wszystkim, więc najlepiej się przyznać. Pamiętam przerażonego starego chłopca, klęczącego przed oficerem i błagającego o uwolnienie, któremu ten powiedział, że jeżeli się nie przyzna, zostanie wysłany w miejsce, gdzie mieszkają białe niedźwiedzie. Widząc absurdalność takiego postępowania, moja siostra Hania, straszna chichotka, nie mogła się opanować i śmiała się otwarcie nawet wtedy, gdy sama była przesłuchiwana. Oficer patrzył na nią z niedowierzaniem i pewnie doszedł do wniosku, że straciła rozum. Tak czy owak, w ciągu następnego dwóch dni przedstawienie powtórzyło się kilkakrotnie, ale Hani już więcej nie przesłuchiwał. Podczas trzech dni spędzonych w piwnicy każda z uwięzionych osób została zabrana do biura na górze, gdzie mężczyzna ubrany po cywilnemu notował personalia i życiorysy. Nie dostaliśmy nic do jedzenia. W końcu na trzeci dzień wyprowadzono nas i posadzono na wozie konnym, na którym w asyście dwóch uzbrojonych strażników pojechaliśmy do Tłumacza, tego samego miasteczka, gdzie był więziony ojciec. Po przybyciu tam zaprowadzono nas do biura, w którym oficer NKWD zaczął nas wypytywać, zerkając na notatki wręczone mu przez naszą eskortę. Po godzinie wstał i powiedział „Zostaliście aresztowani nielegalnie. Możecie odejść.” Tłumacz był małym miasteczkiem z dużą mniejszością żydowską, łącznie może 20,000 mieszkańców. Byłem tam wcześniej raz lub dwa, lecz nikt z nas nie znał nikogo, kogo można byłoby prosić o pomoc. Nie mieliśmy żadnych pieniędzy, chcieliśmy natomiast spróbować skontaktować się z ojcem i przekonać się, czy jest jakaś nadzieja na jego uwolnienie. W miasteczku był wtedy jeden mały hotel należący do człowieka nazwiskiem Schweffelgeist, którego żadne z nas nie znało, ale postanowiliśmy udać się do niego po radę. Kiedy przedstawiliśmy się właścicielowi zachował się niezwykle elegancko. Okazało się, że znał ojca bardzo dobrze, a słysząc naszą opowieść natychmiast przyniósł chleb i ciepłe mleko, a kiedy pożeraliśmy je wytłumaczył nam, że chociaż chciałby pomóc, to musi być bardzo ostrożny, ponieważ jeśli zostałoby zgłoszone NKWD, że zadaje się z „kapitalistami”, wpadłby w poważne tarapaty. Podał nam adres, pod którym mogliśmy wynająć pokój, życząc nam powodzenia. Widzieliśmy go wtedy po raz ostatni. Poszliśmy pod wskazany przez niego adres, by znaleźć jakieś zakwaterowanie. Był tam mały domek należący do wdowy, która pokazała nam pokój, który chciała wynająć. Pokoik był mały, jedynymi meblami było łóżko i mały stolik, ale była lampa elektryczna, mająca postać żarówki bez abażuru, wisząca nad drzwiami. Główną zaletą była możliwość korzystania z kuchni oraz bardzo przystępna cena, i zdecydowaliśmy się na wynajęcie, ale trzeba teraz było znaleźć pieniądze na opłacenie pokoju i zakup żywności. Właścicielka zasugerowała, że można zarobić rąbiąc drwa, potrzebne w każdym gospodarstwie domowym do gotowania i na opał, więc Staś i ja kupiliśmy siekiere i piłę i każdego ranka przechadzaliśmy się po ulicach z naszymi nowo nabytymi atrybutami Rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami, wkrótce właściciele domów zaczęli korzystać z naszych usług. Zapłata była niewielka, ale nie było wyboru, i stało się to naszym głównym zajęciem na następne trzy tygodnie. Dowiedzieliśmy się, że w więzieniu, gdzie przetrzymywano ojca, wyżywienie było niewystarczające, ale rodziny mogły przekazywać żywność. Kupić mogliśmy jedynie mąkę, Hania robiła więc dla nas makaron, i każdego dnia zanosila garnek ojcu do więzienia. Jednego dnia ktoś nam powiedział, że jest trochę pracy na dworcu przy rozładowywaniu wagonów towarowych, poszedłem więc ze Stasiem by zasięgnąć języka. Wiadomość okazała się prawdziwa, i kierownik zatrudnił nas oferując dobrą płacę. Pracowaliśmy tam przez dwa lub trzy dni, kiedy usłyszeliśmy od

jednego z naszych towarzyszy, że komunistyczna policja wypytuje o nas. Tego było dla mnie za wiele; powiedziałem Hani i Stasiowi, że wyjeżdżam. Oni postanowili zostać w pobliżu ojca. Następnego dnia wsiadłem do pociągu jadącego w kierunku Stanisławowa, a tam kolejny do Lwowa. Na miejscu udałem się do mieszkania mamy mojej szwagierki Wandy, pani Walcer, najbardziej uroczej osoby, jaką kiedykolwiek spotkałem. Była wdową mieszkającą przy ul. Zyblikiewicza w bardzo ładnym mieszkaniu, ale jego część została zarekwirowana przez sowieckie małżeństwo majora Szury. Okazało się, że moja mama i siostra Krystyna już tam są, po tym, jak zostały wyrzucone z Horyhład dwa tygodnie wcześniej. Atmosfera we Lwowie była bardzo ponura. Nie chciałem tam zostawać i pomyślałem, że powinienem przedostać się do Polski okupowanej przez Niemców. Moment był odpowiedni, ponieważ Sowieci pozwolili uchodźcom z zachodu, którzy opuścili swe domy uciekając na wschód przed frontem, na powrót. Linia demarkacyjna między dwiema strefami okupacyjnymi została otwarta jedynie na trzy dni w Przemyślu i miałem szczęście przedostać się na drugą stronę. Znalazszy się na terytorium okupowanym przez Niemców doznałem zabawnego uczucia wejścia do innego świata. Ludzie wyglądali inaczej. Żywo ze sobą rozmawiali, tak jak zwykli ludzie, często śmiejąc się i gestykulując, i wiadomo było, że można im ufać, ponieważ wszyscy doświadczali tego samego niedostatku, tej samej klęski, i byli przyjaciółmi gotowymi pomóc komuś w potrzebie. Wszyscy mieli wspólnego wroga, Niemców, i wszyscy wspólnie ich nienawidzili. Po drugiej stronie granicy był inny świat. Szary i bezbarwny z ludźmi cichymi, przestraszonymi i podejrzliwymi względem innych, niechętnych do rozmowy nie wiedząc, kto sympatyzuje z komunistami i jest gotowy zadenuncjować rozmówcę. Wydawało się nawet, że słońce tam nie świeci. To był szary, smutny świat. Podróżowanie było bardzo trudne. Nie było regularnych pociągów pasażerskich, i tylko czasami można było nielegalnie wsiąść do towarowego, nie będąc nigdy pewnym stacji docelowej. Najistotniejszą rzeczą było upewnienie się, czy zmierza na północ lub zachód, byle dalej od Sowietów. Zamierzałem pojechać do Wilkowa, majątku na południowy zachód od Warszawy (w pobliżu Grójca), którego właścicielem był kuzyn ojca, Ludwik Zakrzewski, a którego moje rodzeństwo i ja nazywaliśmy zgodnie z polskim zwyczajem wujkiem. Nosił on przydomek „Arab”. Był barwną postacią, Urodził się w Aleppo w Syrii, jego ojciec, doktor medycyny, wyemigrował z Polski po romantycznej tragedii na początku XIX wieku i w końcu ożenił się z Arabką, obytą i wyedukowaną we francuskiej szkole klasztornej. Doktor Zakrzewski stał się sławny i powodziło mu się doskonale, ponieważ wyraźnie oprócz umiejętności leczenia pacjentów nie miał wiele konkurencji będąc pierwszym europejskim lekarzem osiadłym w tej części świata. Mieli jednego syna, Ludwika, wykształconego w Paryżu i Wiedniu i mówiącego płynnie po francusku i niemiecku ale również po arabsku i turecku. Po ukończeniu studiów Ludwik zaczął pracować w sektorze bankowym i w pewnym momencie awansował na dyrektora Banku Otomańskiego w Turcji. Był przyjacielem paszy Kemala Atatürka [twórcy nowoczesnej Turcji i jej pierwszego prezydenta], którego podpisaną fotografię z dedykacją dla Ludwika widziałem w Wilkowie. W 1918 roku Polska odzyskała niepodległość i w 1922 Ludwik zdecydował o powrocie na ziemię ojców. W tym czasie słabo mówił po polsku, ale był bogaty i miał szeroką wiedzę na temat światowego biznesu. Był ożeniony z Arabką imieniem Gita, ale małżeństwo skończyło się rozwodem. Ożenił się później z polską sekretarką, Marią. Nie miał dzieci z żadnego małżeństwa. Kilka pierwszych lat spędził w Warszawie, w końcu jednak kupił duży majątek nieopodal, bo w powiecie grójeckim. Nie pamiętam dziś dokładnie, jak długo trwała moja podróż do celu, chyba między dwoma a trzema tygodniami. Część podróży odbyła się pociągiem, ale większość przeszedłem pieszo, lub, kiedy miałem szczęście, jechałem konnym wozem. Nie mając pieniędzy byłem zależny od łaskawości

napotkanych osób, którzy w ogólnie udzielającej się atmosferze narodowej tragedii, byli dla mnie hojni. Nie miałem pojęcia, czy Ludwik jest w domu, lub czy jego majątek ucierpiało od zniszczeń wojennych. Okazało się jednak, że miałem szczęście, odnajdując go na miejscu w nietkniętym majątku. Udzielał już schronienia kilku osobom, głównie żonom oficerów będącym na wojnie, których losy nie były wtedy znane. Był tam również księgowy, Żyd, który przetrwał wojnę dzięki niewiarygodnemu ryzyku podjętemu przez Ludwika, by ukryć go przed Gestapo. Trafił on w końcu do Stanów Zjednoczonych i kilka lat później odegrał ważną rolę w staraniach o zwolnienie Ludwika z więzienia w Katowicach, gdzie był przetrzymywany przez komunistów przez kilka miesięcy. Nie pomogło to jednak na długo, gdyż znów został aresztowany i spędził kolejne miesiące w więzieniu. Zmarł niedługo po zwolnieniu.

Znalazłem kryjówkę w Wilkowie, gdzie ukrywało się już troje uchodźców, dwie żony oficerów wziętych do niewoli, generałowa Gąsiorowska i kapitanowa Ziemiańska, oraz Bolek Skraba, brat drugiej żony Araba. Dodatkowo byli tam kamerdyner, służąca Justyna i kucharz, którego imienia nie pamiętam. W różnych domach należących do gospodarstwa mieszkali ludzie je obsługujący. Zarządca nazywał się Schutz, kierownik destylarni Czachowski, księgowym zaś Finklestein, który był Żydem, i oczywiście używał innego nazwiska. Życie w Wilkowie było dość komfortowe, jedzenia było pod dostatkiem, bo dostarczało go gospodarstwo, a służacy dbali o nas. Arab miał względnie dobre stosunki z Niemcami, których przekupywał dobrym jedzeniem i drobnymi upominkami, ci zaś, ze względu na jego wygląd (miał lekko ciemną karnację) oraz doskonale płynny tzw. „wysoki” niemiecki nabyty na Uniwersytecie Wiedeńskim nie uważali go za Polaka. W sierpniu roku 1940 odwiedził mnie Leopold Seidler, kolega którego znałem słabo, ale miałem w wielkim poważaniu, ponieważ uzyskał tytuł doktora prawa przed wojną w wieku 21 lat, stając się najmłodszym studentem z takim osiągnięciem w historii kraju. Miał ormiańskie korzenie i był tylko 2 lub 3 lata starszy. Był oficerem rezerwy w pułku artylerii i brał udział w kampanii wrześniowej, ale udało mu się jakoś uniknąć niewoli u Niemców i/lub Rosjan. W tamtym czasie był zatrudniony w dużym kompleksie gospodarczym prowadzonym przez Niemców pod nazwą „Liegenschaftsverwaltung” [zarządzanie nieruchomościami], usytuowanym około 40 km na południowy zachód od Warszawy i tylko 20 km od Wilkowa, składający się głównie z gospodarstw, których właściciele nie wrócili do domu po zakończeniu działań wojennych, ponieważ zginęli lub dostali się do niewoli. Mieszkał w Babsku, głównej kwaterze przedsiębiorstwa, i pracował jako sekretarz dyrektora organizacji „oberleiter” [naczelnika] Sarley’a, młodego Austriaka z Lintzu, który nie czuł się na tym stanowisku zbyt pewnie, i polegał na wiedzy swojego sekretarza, obeznanego z lokalnymi warunkami. Administracja przedsiębiorstwa była jeszcze w fazie organizacji i Seidler, zwany Poldkiem, starał się zwerbować jak najwięcej osób, którym mógł zaufać, by obsadzić wolne stanowiska i mieć w ten sposób lepszą kontrolę nad całą organizacją. Zasugerował, abym zasilił jej szeregi przyjmując posadę magazyniera (Hoffverwalter) w Babsku, na co przystałem. Pracowałem tam przez kilka miesięcy, kiedy zarządca (Betriebsleiter) Gołynia, jednego z majątków, został aresztowany, i Poldek przekonał Sarley’a do mojej kandydatury na ten wakat. Gołyn był stosunkowo małym, 120 hektarowym majątkiem, praca na nim wykonywana była z wykorzystaniem koni i ręcznie. Grunty były piaszczyste i ubogie, ale Poldkowi udało się przydzielić znaczną ilość nawozów przywiezionych z Niemiec, w wyniku czego plony, składające się głównie z ziemniaków i żyta zauważalnie wzrosły. Młócka żyta odbywać się mogła wyłącznie pod nadzorem Tschernika, austriackiego chłopca, którego Sarley przywiózł ze sobą do Babska, i który był jego totumfackim. Niedługo po moim przybyciu do Gołynia zostałem zaprzysiężony jako członek Związku Walki Zbrojnej, pierwszej podziemnej



organizacji narodowej działającej podówczas pod tą nazwą (zmienioną później na Armia Krajowa), pod pseudonimem „Bruno” przez zakonnika zwanego „Frater”. Od tego momentu otrzymywałem od niego od czasu do czasu rozkazy, by wykonywać różne zadania; był on moim jedynym kontaktem z podziemiem. Przez następne półtora roku wysłałem wozami konnymi kilka ton ziemniaków i ziarna głodującym ludziom w Warszawie. Młócenie tego zboża odbywało się w tajemnicy przed Tchernikiem. Zebrałem również w skrytce na strychu znaczącą ilość bandaży i innych materiałów opatrunkowych. Od czasu do czasu udzielałem na noc schronienia kurierom, a raz czy dwa dostarczyłem walizkę pod wskazany adres, nie wiedząc, co jest w środku. Pojechałem na miejsce moją dwukółką, przekazałem przesyłkę i wróciłem nie niepokoiony. 22 czerwca 1942 obudziło mnie pukanie w okno mojej sypialni. Była to córka zarządcy destylarni z Babska, Lila Mikowa, która powiedziała mi, że Gestapo przyszło aresztować ludzi z głównego biura, jej zaś udało się uciec, zanim Niemcy dotarli do destylarni. Biegła przez 4 km do Gołynia, by uzyskać ode mnie jakąś pomoc, ale tuż przed domem zobaczyła światła samochodu skręcającego z głównej drogi w alejkę prowadzącą do mojej siedziby. Nocowały u mnie wtedy dwie osoby, kolega Zbyszek Majer, który przyjechał na kilka dni z pobliskiego gospodarstwa, gdzie znalazł tymczasowe schronienie na czas wojny ze swą mamą i dwiema siostrami. Drugim gościem był kurier, który już raz wcześniej zatrzymał się u mnie, ale nie znałem jego imienia. Wszyscy trzej ubraliśmy się gorączkowo i wybiegliśmy tylnymi drzwiami do ogrodu, kurier przodem a Zbyszek i ja za nim. Na końcu ogrodu znajdował się rząd drzew, odgradzający go od sąsiedniego pola z nieskoszonym jeszcze żytem. Kiedy kurier był już dwa kroki do drzew usłyszałem długą serię z pistoletu maszynowego i zobaczyłem, że potyka się i upada. Zdając sobie sprawę, że odcięto nam drogę ucieczki, Zbyszek i ja wróciliśmy do domu i czekaliśmy w sypialni na dalszy rozwój wypadków. Wydawało się nam, że przynajmniej nie będziemy złapani na próbie ucieczki. Po jakimś czasie drzwi do przyległego gabinetu otwały się i usłyszeliśmy komendę :Wychodzić z podniesionymi rękami!” Weszliśmy do gabinetu, gdzie ujrzeliśmy dwóch mężczyzn w mundurach, stojących w przeciwległych rogach pomieszczenia , każdy ze Schmeisserem (pistoletem maszynowym używanym przez Niemców) wycelowanym w drzwi. Obaj zostaliśmy skuci i zabrani do ciężarówki, zaparkowanej z przodu domu. W środku siedziało jeszcze dwóch Niemców. Lila była już w środku w kajdankach. W międzyczasie dwóch pozostałych Niemców przeszukiwało dom. Po chwili przyszli z Wandą Górą, dziewczyną zajmującą się doglądaniem ogrodu warzywnego, mieszkającej na piętrze. Zawieziono nas do pobliskiego miasteczka, Rawy Mazowieckiej, a następnie do Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie mieściło się dowództwo okręgu Gestapo. Zostaliśmy umieszczeni w dwóch celach w piwnicy, każda wielkości 3x3 metry, z betonową podłogą i małym, zakratowanym okienkiem tuż pod sufitem. Było tam łącznie 78 osób, w tym 5 kobiet, po 39 osób w jednym pomieszczeniu. Wszyscy zostali aresztowani tej samej nocy, podczas zorganizowanej w okolicy Rawy Mazowieckiej akcji zorganizowanej pośpiesznie, jak się dowiedziałem dużo później, w wyniku mającego miejsce dwa dni wcześniej wypadku. Miejscowa niemiecka policja zauważyła światło w niestaranie zastoniętym oknie w Rawie Mazowieckiej, w czasie obowiązującego zaciemnienia. Kiedy wkroczyli do budynku, zastali dwóch mężczyzn i dziewczynę, kończących drukowanie bieżącej edycji podziemnych ulotek. Wszyscy próbowali ucieczki skacząc przez okno, ale obaj mężczyźni zostali zastrzeleni podczas tej próby, dziewczynie natomiast udało się zbiec. Kiedy wezwano Gestapo, miało ono do dyspozycji wszystkie dowody, ale nikogo do przesłuchania. W rezultacie zdecydowano aresztować różne osoby, które podejrzewano o przynależność do ruchu oporu. Cele były tak nabite, że nie było możliwe, aby wszyscy naraz usiedli na podłodze, zwłaszcza, że w rogu stało duże,

stalowe wiadro, służące jako toaleta. Pierwszym posiłkiem przyniesionym do celi był makaron w stalowej, emaliowanej wanience, postawionej na podłodze obok drzwi, bez żadnych widelców czy łyżek. Wkrótce zaczęto wywoływać po nazwiskach osoby, które były zabierane na przesłuchanie. Kiedy przyprowadzano je z powrotem, zazwyczaj nie mogły więcej stać, i musieliśmy im zrobić miejsce, by mogły leżeć. Pewien młodzieniec, imieniem Wacek, po powrocie z trzeciego przesłuchania powiedział, że dłużej tego nie zniesie, i nocą powiesił się na kratkach okna. Ponieważ słyhać było rozmowy z celi obok, dowiedzieliśmy się, że Henryka, córka zarządcy destylarni z Babska, zmarła w celi po trzech przesłuchaniach, a jej siostra Lila przeżyła, ale została wysłana do Auschwitz. Moje nazwisko zostało wywołane w drugim tygodniu. Zostałem zabrany na górę do pokoju ze stołem, krzesłem i konstrukcją podtrzymującą metalowy pręt około metr nad ziemią, który, jak się później przekonałem, wsuwano między zgiętymi kolanami a ramionami, przy skutych nadgarstkach, a następnie umieszczano na konstrukcji, w wyniku czego skrępowana osoba wisała głową i ramionami w dół eksponując na uderzenia plecy i stopy. Pytania, które mi zadano pozwoliły mi się szybko domyśleć, że nic specjalnego na mój temat nie wiedzieli, a próbowali jedynie wymusić jakieś informacje na temat działalności podziemia w regionie. Skończyło się na jednym przesłuchaniu, w którym straciłem dwa zęby i pobito mi okrutnie stopy i pięty. Po 12 dniach załadowano wszystkich do ciężarówki i przewieziono do więzienia w Radomiu, gdzie spędziliśmy noc, po czym następnego dnia skierowano nas do bydzących wagonów pociągu jadącego do Auschwitz, gdzie przybyliśmy 2 lipca 1942 roku. Staliśmy na zewnątrz bramy z umieszczonym nad nią napisem „ARBEIT MACHTS FREI”, i czekaliśmy w nieskończoność, aż wreszcie wprowadzono nas do jednego z ceglanych budynków, gdzie pozostaliśmy przez dwa dni, podczas których przeszliśmy kwarantannę. W tym czasie budynek obejmował zakaz wstępu i nikt nie mógł do niego wejść ani z niego wyjść. Jednakże po apelu wieczornym, kilku więźniów zebrano pod oknami aby ustalić, czy ktoś z ich krewnych przybył w transporcie. W pewnym momencie zawołał mnie ktoś wyglądający przez okno, i kiedy spojrzałem przez nie, zobaczyłem Władka Plaskurę, którego znałem, bo ożenił się z moją daleką kuzynką. Krzyknął do mnie: „Pamiętaj, że jesteś hydraulikiem”. Było to wszystko, co zdołał powiedzieć, bo zbliżali się strażnicy obozowi. Nie rozumiałem, o co mu chodziło, ale wyjaśniło się to dwa dni później. Pierwsze dwa dni poddawano nas procesowi integracji z realiami obozowymi. Otrzymaliśmy numery identyfikacyjne, włosy na głowie i reszcie ciała zostały skrócone lub zgolone, zostaliśmy ubrani w biało-niebieskie pasiaki i także płaszcze, koszule, bieliznę i buty. Ubranie było zrobione z cienkiej, syntetycznej i bardzo szorstkiej tkaniny, noszonej oczywiście wcześniej przez wielu więźniów, i mającej wiele łat, co świadczyło o ich wieku. Następnie robiono zdjęcia twarzy, z przodu,  $\frac{3}{4}$ . i profilu. Drugiego dnia moja grupa, licząca 53 osoby aresztowane wraz ze mną w Rawie Mazowieckiej, zostały wyprowadzone na zewnątrz, gdzie stanęliśmy przez wielkim, podobnym do goryla esesmanem, Unterscharfehrerem Friesem, w towarzystwie więźnia z numerem 3 imieniem Otto. Miał on na ramieniu opaskę z napisem „Arbeitsdienst”. Otto zaczął wywoływać fachowców różnej maści, elektryków, mechaników, hydraulików etc. Wtedy zrozumiałem, co Władek Plaskura miał na myśli, i kiedy wezwano hydraulików, wystąpiłem. Prowadzący kwalifikację Otto zapytał mnie, jak długo pracowałem w tym fachu. Nie wiedząc dokładnie, czym zajmują się hydraulicy, przeraziłem się, że jeśli przesadzę, wkrótce zostanę zabity, odpowiedziałem więc, że pracowałem około roku, na co Friese odesłał mnie, ale Otto zapytał, co robiłem wcześniej. Odpowiedziałem, że byłem studentem, i Otto szybko zaproponował Friesowi abym został pomocnikiem, na co ten wzruszył ramionami i skinął głową zgadzając się. Nasza grupa przybyła z rolniczej części kraju, i jedynie trzech z nas zarejestrowano jako fachowców.

Dziwnym zrządzeniem losu z całej grupy tylko nasza trójka doczekała końca wojny. Wracając jednak do moich pierwszych dni w obozie, okazało się, że zwerbowanie przez Otta nie przyniosło natychmiastowego efektu przydzielenia mnie do grupy roboczej. Następnego ranka dołączyliśmy do grupy około 800 mężczyzn, skierowanej do pracy przy linii kolejowej. Każdy z więźniów otrzymał taczki lub kilof i łopatę. Niektórzy, jakieś 5%, otrzymało kije lub pałki, i zadaniem ich było dopilnować, aby pozostali pracowali z największą prędkością, bijąc w przypadku, gdy ktoś zwalniał. Jeśli nie bili wystarczająco, by zadowolić dowódcę, również więźniowie z opaskami opatrzonymi napisem KAPO lub VORARBEITER, polecano im zamienić się narzędziami z innym więźniem i zamiast bić innych sami byli bici. Mnie przypadły taczki, okropnie ciężkie, z wąskim stalowym kółkiem, wrzynającym się w grunt. Moim zadaniem było pchać je w długiej kolejce taczek, pracując między dwiema liniami więźniów, którzy łopatami napełniali taczki, gdy te przejeżdżały obok. Napełnienie taczek trwało sekundy, i dlatego nie było ani chwili odpoczynku, bo wszyscy pchający musieli biec przez cały czas. Jeśli ktoś zwolnił, był bity przez dzierżących pałki, co zazwyczaj spowalniało go jeszcze bardziej, to powodowało wzmożone bicie, i ostatecznie kończyło się śmiercią ofiary. Kiedy wieczorem wracaliśmy do obozu, ciała zmarłych były niesione przez grupę, i mogły zostać policzone przy bramie, a ilość osób, które opuściły obóz porównana z ilością wracających. Na drugi dzień moje dłonie pokryły się okropnymi pęcherzami, i raz lub dwa ponaglono mnie krzykiem do szybszej pracy. Zdałem sobie sprawę, że nie wytrzymam kolejnego dnia. Nazajutrz, po apelu porannym, wywołano mój numer i polecono mi dołączyć do grupy hydraulików.

Po apelu, rozpoczynającym ten dzień jak każdy inny, więźniowie sformowali poszczególne grupy robocze zwane komandami, każda dowodzona przez Kapo. Hydraulicy zostali podzieleni na dwie grupy, jedna dla budowy instalacji (Bauleitung), a druga dla utrzymania istniejących (Verwaltung). Grupa Bauleitung miała dowódcę Polaka, inżyniera mechaniki C. Lacheckiego, i do tej grupy zostałem przydzielony. Oba oddziały maszerowały w kolumnie po 5 osób w rzędzie, z Kapo w pierwszym rzędzie po prawej. Więźniowie musieli maszerować z otwartymi dłońmi przyciśniętymi do ud, by ułatwić liczenie przeprowadzane przez esesmana przy bramie. Główna ulica prowadząca do bramy nazywała się Dali-Dali Strasse, a po lewej stronie, w rogu przy kuchni obozowej znajdował się mały plac, na którym orkiestra obozowa, złożona z więźniów, grała marsze każdego ranka, gdy komanda wychodziły do pracy, jak również gdy wracały. Kiedy komando zbliżało się do bramy, Kapo wydawał komendę „Muetzen ab” (czapki z głów), a przy bramie raportował esesmanowi nazwę komanda i jego liczebność. Gdy grupa przechodziła, esesman przeliczał ilość kolumn i liczbę więźniów w ostatniej, jeśli nie była pełna, po czym wpisywał do arkusza. Podczas powrotu wieczorem, liczenie musiało się zgadzać z porannym, inaczej oznaczało to czyjaś ucieczkę, i esesmani pełniący służbę w wieżach strażniczych (Postenkette) wokół obszaru roboczego nie mogli zejść ze służby, aż cały obszar został dokładnie przeszukany przez esesmanów ze szkolonymi w tym celu psami. Międzyczasie więźniowie stali przed swoim blokiem, czekając na apel wieczorny, czasami godzinami. Najdłuższe oczekiwanie zdarzyło się przed moim przybyciem do obozu. Trwało do następnego dnia, i zmarło podczas niego 100 więźniów.

Nasz oddział udał się najpierw do baraku, w którym kapo przydzielał różne prace, mniejszym grupom dowodzonym przez Vorbeiterów. Dołączyłem do grupy, dowodzonej przez Jana Myłsoka, zajmującej się budowa nowego rurociągu z wodą. Wykonano długi wykop, obok którego leżały żeliwne 18-calowe [45 cm] rury, które najpierw należało opuścić na dół, następnie zaś każdy z więźniów przydzielany był do jednego odcinka, aby wykonać trwałe i szczelne połączenie z następnym odcinkiem rury. Każdy odcinek rury miał szerszy

kołnierz z jednego końca, do którego wciskany był prosty koniec drugiej rury, po czym szczelinę między rurami szeroką na 2 cm należało dokładnie uszczelnić trzema różnymi materiałami. Narzędzia, jakie otrzymałem do tego zadania, to ciężki młot i przecinak oraz trzy wiązki materiału uszczelniającego. Najpierw trzeba było upchnąć smołowane konopie, później zwykłe konopie a na końcu ostatnią warstwę składającą się z ołowianych włókien. Każdy z tych materiałów musiał być porządnie ściśnięty aby zapewnić wodoszczelne połączenie. Kiedy skończyło się uszczelniać jedno połączenie, trzeba było zająć się następnym. Czułem się jak w niebie. Mogłem siedzieć okrakiem na rurze, a praca nie była ciężka, co więcej, nikt na mnie nie krzyczał i nie bił, istna rozkosz. Gdy dzień pracy miał się ku końcowi, należało sprawdzić nowo położony odcinek pod ciśnieniem. Wypełniono go wodą, po czym za pomocą ręcznej pompy podniesiono ciśnienie do wymaganego poziomu. Kilka z połączeń okazało się nieszczelnych, wszystkie wykonywane przeze mnie. Byłem przerażony i pewny, że teraz zostanę zabity. Myłsok zawołał mnie i zapytał: „Jesteś hydraulikiem?” Odpowiedziałem, że nie. „Więc czemu u licha mi nie powiedziałaś?” Odrzekłem, że bałem się; wyglądało na to, że to już koniec. Później, gdy wróciliśmy do baraku i Myłsok zdał relację z wypadku Lacheckiemu, Kapo powiedział, że od następnego dnia zostanę przeniesiony do drugiego oddziału, Verwaltung.

Następnego dnia procedura opuszczania obozu po apelu porannym przebiegła tak samo jak dnia poprzedniego, z takim wyjątkiem, że prowadził nas inny Kapo, którym był Józek Plaskura (#1001), brat Władka (#1000). To właśnie Władek powiedział mi, abym się zgłosił jako hydraulik, kiedy byłem jeszcze w bloku kwarantanny. Przybyliśmy do innego baraku, gdzie podzielono nas na pary, każda składająca się z hydraulika i pomocnika, i skierowano do prace naprawcze rozpisanych na ten dzień. Zajęcia były różne, obejmowały naprawy w domach żonatych esesmanów, rzeźni, piekarni, kuchni SS i innych budynkach umieszczonych poza ogrodzonym terenem obozu, ale w obrębie większego obrysu posterunków strażniczych (Postenkette), obsadzanych każdego ranka, zanim grupy robocze (komanda) opuściły obóz, a schodzących ze służby, gdy wieczorem, po zweryfikowaniu ilości więźniów, którzy wrócili. Czasem naprawy były potrzebne w innych obozach, leżących nieopodal, takich jak Rajsko, Harmenzy i Birkenau, które leżały poza linią Postenkette, i w takim wypadku byliśmy eskortowani przez uzbrojonych esesmanów. Przebywając zawsze w towarzystwie wykwalifikowanego hydraulika, byłem względnie bezpieczny, tak długo jak przykładałem się do pracy, robiąc dokładnie to, co mi powiedział. Niektóre prace były lepsze od innych; ważnym czynnikiem była możliwość podwędzenia jakiejś żywności na miejscu pracy. Obozowe racje żywnościowe były tak niewystarczające, że stale myśleliśmy, śniliśmy i mówiliśmy o jedzeniu. W domach zajmowanych przez rodziny esesmanów zawsze można było wytłumaczyć konieczność zejścia do piwnicy i zakręcenia zaworu, i zazwyczaj można było znaleźć tam ziemniaki, marchew lub rzepę, które oczywiście trzeba było zjeść na surowo na miejscu. Jednym razem weszliśmy z moim partnerem do kuchni SS, gdzie toaleta wymagała naprawy. W kuchni pracowali więźniowie, i kiedy pracowaliśmy w jednym z pomieszczeń, nagle wszedł więzień i postawił na podłodze wiadro do połowy wypełnione wspaniałą, gęstą grochówką. Innym razem zostaliśmy wysłani do Stabsgebaude, budynku, w którym kwaterowały esesmanki. Pracując tam w jednym z pomieszczeń widzieliśmy wiele esesmanek wchodzących i wychodzących z innych pokoi. Jedną z nich była owiana złą sławą Irma Grese, olśniewająca blondynka, która spostrzegłszy, że tam pracujemy, przyniosła po chwili dla każdego z nas pyszną pszeniczną bułkę z dżemem. (Irma Grese została później przeniesiona do Belsen, gdzie po wojnie skazano ją na śmierć i powieszono.)

Raz lub dwa zostaliśmy wysłani do chlewa, w którym gotowano ziemniaki w olbrzymich kotłach, a to stwarzało okazję do zjedzenia kilku. Generalnie jednakże rzadko można było zdobyć dodatkowe jedzenie, i główną zaletą pracy z hydraulikami było zdobycie doświadczenia w zawodzie oraz bardzo przyzwoici kapo, którzy, w miarę możliwości, zawsze pomagali komuś, kto wpakował się w kłopoty. Będąc jednak zwykłymi więźniami, kapo nie mieli specjalnych przywilejów, i dzielili los ze swymi podwładnymi, zdani na rozkazy esesmanów. Gdy pewnego razu jeden z więźniów uciekł, nasze komando zostało wezwane i umieszczone w pasie pomiędzy dwoma siatkami z drutu kolczastego w pobliżu głównej bramy, gdzie czekaliśmy przez kilka godzin. Było dla nas jasne, że zostaliśmy wybrani w celu ukarania za ucieczkę i perspektywy rysowały się ponuro. Jakiś czas wcześniej uciekł jeden z więźniów z komanda rzeczoznawców, i w odwecie wszyscy ludzie z komanda, łącznie z kapo, zostali publicznie powieszani podczas apelu. Podczas tych godzin oczekiwania, przy bramie, między drutami, umieraliśmy tysiąc razy zdając sobie sprawę, że nic na tym świecie nie może nas uratować. W końcu, późną nocą, wyprowadzono nas stamtąd i zastąpiono komandem krawców, których członek został zidentyfikowany jako uciekinier. Opiszę teraz inny wypadek, który spowodował, że uważałem śmierć za coś nieuchronnego. Było przyjęte, że po niektórych apelach porannych, wyczytywano listę numerów więźniów, i ci wyczytani, zamiast iść do pracy, musieli zgłosić się do Schreibstube (biura obozowego), gdzie ich identyfikowano, i gdzie czekali na przybycie SS Untercharfeuhlera Palitscha, obozowego oprawcy, który ze strzelbą kaliber .22 przewieszoną przez ramię prowadził ich do bloku #11 na egzekucję. Na miejscu rozkazywano im stanąć twarzą do betonowej ściany między blokami #10 i #11, i Palitsch rozstrzeliwał każdego strzałem w tył głowy. Ciała były później ładowane za wóz pchany przez więźniów do krematorium, usytuowanego tuż za bramą po prawej stronie. Za wozem ciągnęła się wstęga kapiącej krwi, będąca ponurym potwierdzeniem wykonania egzekucji dla wszystkich powracających wieczorem z pracy. Numery wyczytane po apelu porannym zaczynały się od najniższych i rosły, gdy więc wyczytywano numer wyższy od mojego, wiedziałem, że przynajmniej tego dnia uniknąłem selekcji. Nikt nie wiedział w jaki sposób i dlaczego numery były wybierane, i dopiero po wojnie dowiedziałem się, że byli to zakładnicy zabici w odwecie za różne akcje przeprowadzone przeciw Niemcom w okolicy ich zamieszkania. Największa liczba więźniów rozstrzelanych w ciągu jednego dnia wynosiła ponad 280, miało to miejsce 28 października 1942 roku. Pewnego okropnego poranka, którego nigdy nie zapomnę, usłyszałem swój numer, i w tym momencie zacząłem umierać. To nie chwila śmierci jest najgorsza, ale raczej świadomość jej nieuchronnego zbliżania. Wiedziałem, jak to się odbędzie, i przeżywałem ten moment wiele razy, czując strach ponad wszelką miarę, i w końcu chciałem tylko, by już było po wszystkim. Było nas mniej niż 10 w grupie. Zostaliśmy zaprowadzeni do Schreibstube, gdzie pracujący tam więźniowie potwierdzili naszą tożsamość, po czym czekaliśmy, aż przyszedł Palitsch ze swą strzelbą i świstkiem z naszymi numerami, i zaczął wyczytywać numery. Nie było tam mojego. Zabrał wszystkich na zewnątrz, podczas gdy jeden z więźniów wręczył mi list od mamy (wolno nam było wystać i otrzymać jeden list miesięcznie), zawierający wymiętą fotografię kuzyna, na którą mogłem popatrzeć przez 30 sekund, po czym została ona podarta. Postępowanie takie ustalały przepisy obozowe, chociaż nigdy nie słyszałem, aby ktoś inny otrzymał kiedyś fotografię, jedynym zaś sposobem, by mi ją pokazać, było wyczytanie mojego numeru po apelu porannym. Czasami wysyłano nas to zewnętrznych obozów, takich jak Rajsko, gdzie więźniowie uprawiali warzywa i rośliny eksperymentalne. Jedną z głównych roślin, którą hodowali tam i starali się ulepszyć Niemcy był mniszek lekarski. Zamierzali oni używać jego mleczka do produkcji gumy. Strażnicy

eskortujący nas do Rajskiego, po wejściu do obozu, zostawiali nas samych i flirtowali z esesmankami nadzorującymi więźniarki. Pracując przy zleconych naprawach mieliśmy możliwość dostarczyć małe liściki, zwane w języku obozowym grypsami, żonom, siostrom lub ukochanym, przekazanych nam przez przyjaciół w głównym obozie. Liściki były zwykle napisane na malutkich skrawkach papieru, o rozmiarach około 2.5x2.5 cm, ciasno zwinięte i ukryte w rękojeści wkrętaka, specjalnie przygotowanej do tego celu. Rozmowa z więźniarkami była zabroniona i karana śmiercią, ale kobiety, które oczekiwały na gryps, podchodziły do nas, rozstawiając najpierw czujki ostrzegające przed niebezpieczeństwem. To samo działo się w innych kobiecych obozach jak Harmenzy, gdzie hodowano drób, lub w Birkenau, oraz w bloku #10 w naszym obozie, gdzie mieszkały więźniarki, na których niemieccy lekarze przeprowadzali eksperymenty medyczne [i pseudomedyczne]. W tym ostatnim, który odwiedziłem tylko raz, miałem okazję spotkać po raz drugi SS Aufseherin Irmę Grese. Irma była jedyną strażniczką w tym budynku, i przez cały czas mojego tam pobytu, stała w drzwiach wejściowych patrząc na ulicę, przez co uznałem, że specjalnie daje nam okazję porozmawiania z więźniarkami i przekazania grypsów, komu chcieliśmy. Było powszechnie wiadome w obozie, że więźniowie pracujący w komandach remontowych, takich jak hydraulicy, elektrycy czy ślusarze byli kierowani do wykonywania napraw w obozach kobiecych, i dlatego więźniowie pragnący utrzymać kontakt z więźniarkami wiedzieli, gdzie szukać pomocy. Znacznie później, kiedy byłem w Wanzleben, podobozie Buchenwaldu, gryps został przechwycony przez komendanta obozu, który oskarżył mnie o napisanie go. Udało mi się wtedy, mimo przerażającego bicia, przekonać przesłuchujących, że mój charakter pisma jest zupełnie inny od tego na grypsie.

Pod koniec roku 1943 zwolniło się miejsce dla operatora pompy wodnej zaopatrującej kuchnię SS, i Józek Plaskura zdecydował o przydzieleniu mnie na to stanowisko. Pompa znajdowała się w południowo-zachodnim narożniku obozu, w piwnicy dużego budynku (znanego jako T. W. L.), służącego za magazyn trwałych środków żywnościowych dla strażników SS. Część piwnicy, w której znajdowała się pompa i zbiornik ciśnieniowy miała wielkość 6x6 m i miała osobne wejście z tyłu budynku. Płytką studnia znajdowała się 25 m po przekątnej na lewo, kuchnia zaś 70 m na prawo. Studnia miała 3 m szerokości i 7.5 m głębokości, była cembrowana cegłą, a z jednej strony przymocowana była żelazna drabina, prowadząca od klapy umieszczonej w pokrywie studni do jej żwirowego dna. Studnia miała ograniczone zasilanie w wodę i kiedy zapotrzebowanie kuchni je przekraczało, system tłoczył powietrze zamiast wody, i pompę należało zatrzymać i uruchomić ponownie. Oprócz tego zajęcia dozorca chlorował wodę z pomocą aparatu złożonego ze szklanych i gumowych rurek, gdzie wlewano codziennie środek chlorujący, i który służył do aplikowania go w odpowiednim stężeniu. Duży zbiornik ciśnieniowy z podłączonymi do niego rurami znajdował się na żwirowej podłodze, otoczony betonowymi ścianami o średnicy 2 i wysokimi na 9 metrów. Ponieważ woda rozlewała się podczas częstych rozruchów pompy, i nie było innego dla niej odpływu, niż przez żwirową podłogę, u podstawy zbiornika zawsze stała woda, głęboka przynajmniej na 0.6 metra. Pomieszczenie było bardzo wilgotne, a jedyną wentylacją było 5 otworów 8x8 cm każdy, znajdujące się w górnej części ściany odgradzającej je od wschodniej części budynku. W głównej jego części pracowało dwóch Polaków, jeden z nich nazywał się Baliński, nazwiska drugiego nie pamiętam, oraz dowodzący esesman, Oberscharfuehrer Holzknicht, zupełnie przyzwoity człowiek. Co kilka dni jeden lub obaj Polacy przychodzili to pomieszczenia pompowego i przynosili niewielką ilość granulowanego cukru i płatków owsianych, jedynych produktów, które mogły być zjedzone bez gotowania. Było to prawdziwe błogosławieństwo, i udało mi się przybrać na wadze w ciągu następnych

tygodni. Na zachód od mojej pompy i nieomal naprzeciw kuchni SS znajdował się duży, wybetonowany dół na śmieci z kuchni i innych budynków. Zawartość była opróżniana i wywożona przez słowackiego więźnia imieniem Rudolf, którego bliżej poznałem dzięki jego częstym wizytom. Pewnego dnia przyniósł on do mojego pomieszczenia pompowego sporych rozmiarów słoje, jakie w tamtych czasach można było często ujrzyć w aptekach, z opisem „Cocainum Hydrochloricum”, i zapytał, czy go chcę. Pomyślałem, że musi to być kokaina, i zdecydowałem się go wziąć. Nie mogłem ukryć słoja w pomieszczeniu pompowym, gdyż łatwo byłoby go tam znaleźć, więc zabrałem go do studni, gdzie 3 metry poniżej powierzchni znalazłem w ocembrowaniu obluzowaną cegłę, wyjąłem więc ją, pogłębiłem otwór na tyle, aby pomieścić słoje, i włożyłem cegłę z powrotem. Przez kilka dni go nie ruszałem, ale w końcu nadszedł czas decyzji. Słyszałem wcześniej, że kokaina jest bardzo uzależniającym narkotykiem, i gdy raz się zacznie ją przyjmować, trzeba to dalej robić. Słyszałem również, że narkotyk ten nie otepia zmysłów, i wyzwała dużo energii. Cóż miałem do stracenia? Wiedziałem, że nigdy nie opuszczę obozu żywy, dlaczego więc nie spróbować? Podobno należało położyć szczyptę białego jak śnieg proszku na wierzchu dłoni, po czym wciągnąć ją nosem. Rozważałem to przez kilka dni, aż pewnego ranka zszedłem po drabinie do studni i po raz pierwszy przyjąłem kokainę. Kontynuowałem tę procedurę niemal codziennie przez 6 miesięcy, aż jednego dnia słoje okazał się pusty i musiałem przestać. Symptomy odwykowe były stosunkowo łagodne, o wiele mniejsze niż te po rzuceniu palenia, i ustąpiły zupełnie po kilku tygodniach. Przez okres, w którym pracowałem przy pompie, miały miejsce dwa nieprzyjemne wrażenia. Raz przyszedł esesman i zaczął węszyć dookoła. Zainteresował się butlą na chemikalia, używanymi do sprawdzania stężenia chloru w wodzie. Podejrzał, że jest to wódka, i próbował zmusić mnie do wypicia. Udało mi się odmówić pomimo dotkliwego bicia, ale miałem wiele szczęścia, że w końcu zdecydował się dać za wygraną i wyszedł. Drugim incydent dotyczył Balińskiego i drugiego Polaka pracującego w głównym budynku. Czasem wykonywali swe obowiązki w piwnicy, po drugiej stronie ściany oddzielającej pomieszczenie pompowe od pozostałej części budynku, z otworami wentylacyjnymi u góry. Pewnego dnia powiedzieli mi, że będą pracować nalewając rum z beczek do butelek, a ponieważ Holzknecht zwykle zamykał ich w środku i byli sami, chcieli mi podać kilka butelek przez otwory wentylacyjne, abym je ukrył, i później mogli je ode mnie wziąć. Było to z mojej strony raczej głupie, że się zgodziłem, ale traktowali mnie dotychczas tak dobrze, że trudno mi było odmówić. Podali 4 butelki, które schowałem pod żwirem, wykopując odpowiednią jamę pod wodą, pod betonową kładką, i zakryłem wszystko dobrze kamyczkami. Powiedzieli mi później, że uzgodnili zamianę rumu za margarynę z więźniem, który pracował jako tapicer w jednym z pobliskich budynków. Kiedy wszedłem do pomieszczenia pompowego następnego ranka zobaczyłem, ku memu przerażeniu, dwie etykiety z butelek pływające w wodzie. Odszukałem gorączkowo moją perfekcyjnie ukrytą, podwodną kryjówkę, która okazała się pusta, bo wszystkie 4 butelki znikły. Kiedy powiedziałem Balińskiemu i jego koledze, co się stało, nie uwierzyli mi i oskarżyli o kradzież. Nie rozmawialiśmy już nigdy więcej, a ja dowiedziałem się później, że tapicer został tego wieczora dłużej w pracy, i najwyraźniej wiedząc, że butelki są w pomieszczeniu pompowym, przeszukał je dokładnie, aż znalazł.

By dojść do pompy musiałem iść sam dość daleko, i po drodze często spotykałem esesmanów, przed którymi byłem zobowiązany zdejmować czapkę i iść uważnie. Raz spotkałem Oberscharfuhrera Stibitza, który w tym czasie pełnił w obozie funkcję Rapportenfuehrera; zatrzymał mnie za niezbyt prędkie zdjęcie czapki. Uderzył mnie w twarz zwalając z nóg, ale podniosłem się prędko, by nie dać mu okazji do kopnięcia mnie ciężkim

butem, mogącym spowodować poważne obrażenia wewnętrzne. Uderzył mnie znowu i znów upadłem i szybko wstałem jak wcześniej, i powtórzyło się to kilka razy, aż zdecydował się przestać i odejść. Wiedziałem z doświadczenia, że esesmanom schlebiało, gdy widzieli, że więzień upada po każdym uderzeniu, i jednocześnie, że trzeba unikać kopnięć leżąc na ziemi, dlatego szybkie wstawanie było bardzo ważne.

Życie w obozie zaczęło się poprawiać w 1943, i wydaje mi się, że musiał to być rezultat porażek militarnych na froncie radzieckim. Dowódca obozu, Hauptsturmfuehrer Rudolf Hoess został zastąpiony przez Sturmbahnfuehrera Liebehenschela, który krótko po przybyciu oznajmił: „...więją nowe wiatry”, i od tego czasu bicie więźniów było zabronione. W praktyce nie znaczyło to wiele, z wyjątkiem sytuacji, kiedy ciężko pobity musiał być zanieiony do szpitala. Skutkowało to śledztwem, i stało się jasne, że więźniowie przeznaczeni do eksterminacji są teraz traktowani jako pracownicy, których wysiłek ma się przyczynić do końcowego zwycięstwa Niemców. Podczas mojego przybycia do Auschwitz naszą grupę powitano przy bramie krótkim wprowadzeniem zaprezentowanym przez Lagerfuehrera Fritcha, który powiedział „Życie tutaj jest trudne, ale sprawiedliwe, i nie miejcie żadnych złudzeń, że kiedyś opuścicie to miejsce. Jedyna droga wiedzie tamtędy” zakończył wskazując plując płomieniami i dymem komin krematorium. Obecnie, przy nowych zasadach, więźniom wolno było otrzymywać paczki żywnościowe, co zrobiło olbrzymią różnicę, bo chociaż nie każdy je otrzymywał, ci którzy nie dostali żadnej paczki i tak korzystali z dodatkowego jedzenia obozowego, nie zjedzonego przez innych. W czasie mojego przybycia, 2 lipca 1942 roku, kolejne numery nadawane więźniom przekraczały 10,000 na miesiąc, ale mieszkańców obozu pozostała ustalona liczba mniej więcej 10,000 co oznaczało, że codziennie umierało średnio 330 więźniów. Rok później sytuacja nieco się zmieniła i nastąpił spadek umieralności, jednak poza tym warunki pozostały niezmienione. Niecierpliwie wyglądaliśmy końca wojny, ale równocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy z własnej woli nigdy nie wypuszczą nas żywcem. W październiku 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego, radziecki front, który zatrzymał się na dwa miesiące (czas trwania Powstania), zaczął znów się posuwać i zbliżył się do Auschwitz dostatecznie, by zmusić Niemców do ewakuacji wszystkich Polaków z obozu. 30 października 1944 roku żaden więzień nie został wysłany do pracy, ale zamiast tego, zaczęto wywoływać numery więźniów zaczynając od najniższych, systematycznie coraz wyższe. Udało mi się wtedy zauważyć, że w grupie na przykład między 11,000 i 12,000 wezwano tylko 3 numery, a w mojej grupie, od 44,000 do 45,000, przeżyło tylko 23 więźniów. W miarę wzrostu numerów żyjących więźniów okazywało się coraz więcej i o ile dobrze pamiętam, wywołane numery kończyły się na 120,000. Kiedy wyczytywanie numerów zakończyło się, pomaszerowaliśmy do Birkenau, gdzie ulokowane były wszystkie 4 krematoria, każde wyposażone we własną komorę gazową, i myśleliśmy najpierw, że zostaniemy wszyscy zabici. Zamiast tego zostaliśmy umieszczeni w jednym z pustych pomieszczeń przy bocznicie kolejowej, gdzie były składy wagonów bydlęcych. Stopniowo zostaliśmy podzieleni na grupy, które zostały załadowane do oczekujących wagonów. Upakowano nas ciasno po czym zamknięto i uszczelniono drzwi. Nasz pociąg jechał powoli przez trzy dni i noce, często się zatrzymując i stojąc, i czasami można było zobaczyć przez szparę w ścianie nazwy stacji, które mijaliśmy. Pamiętam Sagan [Żagań] i Kotbus [Cottbus]. Podczas drugiej nocy zatrzymaliśmy się w pobliżu Berlina podczas nalotu bombowego. Słyszeliśmy wybuchy i odgłosy artylerii przeciwlotniczej. Wspaniale było słyszeć, że Niemcy dostają to, na co zasłużyli. Następnego dnia, 3 listopada 1944, przybyliśmy do Oranienburga, gdzie wyszliśmy z wagonów. Zaprowadzono nas na noc do olbrzymiego hangaru, będącego częścią Zakładów Lotniczych Heinkel. Rano pomaszerowaliśmy stamtąd



do pobliskiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Otrzymałem numer 113,036, ale zostałem tam tylko dwa tygodnie i 24 listopada 1944 roku naszą grupę załadowano do pociągu i wysłano do Buchenwaldu, gdzie dostałem numer 96,452. Następnego dnia grupa 500 więźniów została wysłana do podobozu w Wanzleben, gdzie wyznaczono nas do pracy w kopalni soli potasowej głębokiej na 300 metrów, dokąd przeniesiono fabrykę produkującą podwozia do samolotów Heinkla. Zostaliśmy zakwaterowani na powierzchni w jednej sali dużej budynku fabryki, z kilkoma rzędami 4-piętowych prycz. Więźniów podzielono na dwie grupy. Jedna z więźniami przygotowującymi nowe pomieszczenia, gdzie miało być umieszczone więcej maszyn, i druga z więźniami obsługującymi istniejące maszyny, wytwarzające wymagane części. Miałem szczęście dostać pracę na powierzchni jako Schreiber, pilnujący porządku w pokoju Stubeaelteste'a. Komendantem lub Lagerfuehrerem w Wanzleben był Oberscharfuehrer SS, którego nazwiska nie pamiętam, ale przez więźniów był nazywany Skóra. Około 20 esesmanów służyło jako strażnicy. Każdego ranka zabierano więźniów na dół do kopalni windami, mieszczącymi się tuż obok budynku, przywożono zaś ich z powrotem po pracy późnym wieczorem. Przed wyjściem staliśmy łóżka i otrzymywaliśmy pół litra tzw. kawy, płynu bez wyraźnego smaku, będącego ciepłą wodą. Po powrocie z pracy ludzie dostawali swe racje chleba, a czasami trochę margaryny lub plasterki końskiej kiełbasy wraz z litrem cieniwej zupy. Praca Stubeaelteste, noszącego nazwisko Marian Bily, i moja, polegała na zamiataniu podłogi i rozdziale żywności, przygotowywanej przez więźniów w innej części budynku. W naszej grupie było kilku Francuzów, i ponieważ znałem francuski, musiałem tłumaczyć z niemieckiego wszystkie oficjalne ogłoszenia. Wśród Francuzów był młody człowiek nazwiskiem Roger Fosse, pracujący z górnikami, z którym zaprzyjaźniłem się ponieważ był zarówno miły, jak i inteligentny. Pewnego dnia zranił się w pracy w nogę, i nie mogąc pracować tak ciężko, jak od niego wymagano, był często bity. Przekonałem Mariana Bily, że można by wykorzystać Rogera do pomocy dla nas, i zgłosiliśmy wniosek o przeniesienie go z kopalni do Stube, gdzie jako wybitny kaligraf, przygotowywał indeks kart wszystkich więźniów, który Skóra chciał mieć. Minęły dwa lub trzy dni, zanim nasz wniosek doczekał się realizacji, i Roger był już blisko od śmierci, gdy wreszcie został posadzony przy stoliku w małym biurze, i zaczął pracę przy pożądanym kartotece. Noga mu się zagoiła i już nie wrócił do kopalni. Później nasze ścieżki się rozeszły i nie wiedziałem, czy udało mu się przetrwać. Dwa lata po wojnie, gdy byłem w Cambridge, napisałem na francuski adres, który kiedyś mi podał i który zapamiętałem, i wkrótce otrzymałem odpowiedź. Staliśmy się dobrymi przyjaciółmi, przysyłał mi paczki żywnościowe w czasie, gdy cała żywność była w Anglii racjonowana, podczas gdy we Francji było jej pod dostatkiem. Ożenił się później z Yvonne, córką mera Auffey, wioski, gdzie mieszkał, i miał dwóch synów, Jean-Luca i Yanika. W 1949 roku pojechałem na przyjęcie z okazji chrztu starszego, Jean-Luca, na który zaprosił mnie jako człowieka, który uratował mu życie. Pracował wtedy jako pośrednik nieruchomości, ale będąc bardzo ambitny, został wybrany na członka francuskiego parlamentu, i po pewnym czasie awansował na stanowisko zastępcy ministra w rządzie de Gaulla. Byliśmy w kontakcie dzięki kartkom świątecznym wysyłanym przez Yvonne, a pewnego razu przyjechała z obydwoma synami do Idle Acres z Waszyngtonu, gdzie Roger uczestniczył w międzynarodowej konferencji. Rok lub dwa później dostaliśmy ostatnią kartkę od Yvonne, w której napisała, że Roger odszedł od niej i biorą rozwód. Słyszałem wtedy o nim po raz ostatni.

Pod koniec zimy stało się oczywiste, że wojna źle idzie Niemcom. W różnych miastach zarządzano ciągle alarmy lotnicze. Przez dwa dni i dwie noce widzieliśmy niebo rozświetlone łuną pożaru po wielkim nalocie na Drezno, oddalone o 40 km. 12 kwietnia 1945 roku

więźniowie nie zostali wysłani do pracy, a zamiast tego sformowano z nas długą kolumnę marszową po 5 ludzi w rzędzie, z eskortą 30 esesmanów ustawionych wzdłuż obu stron. Skóra jechał na rowerze na końcu kolumny. Poszliśmy w kierunku Magdeburga, i gdy wkrótce niektórzy słabsi więźniowie nie byli w stanie dotrzymać kolumnie kroku, przewracali się lub siadali na poboczu. Zostawali za kolumną, a gdy Skóra zbliżał się do nich, zabijał ich strzałem pistoletowym w głowę. Późnym popołudniem kolumna zatrzymała się w starym kamieniołomie, i polecono nam odpocząć na dole, podczas gdy Niemcy ustawili się wokół na wzniesieniu. Dużo później dowiedziałem się, że zamierzali nas tam wykończyć, ale zmienili zdanie uważając, że nie jest ich wystarczająco dużo, by zrobić to bez ryzyka. Zdecydowali dołączyć do grupy z innego obozu, zmierzającej w tę samą stronę, i rozpocząć rzeź, gdy stosunek liczby strażników do więźniów stanie się bardziej dla nich korzystny. Po godzinie wznowiliśmy marsz i szliśmy przez pozostałą część dnia i nocy. Było to pewnie tuż przed północą, gdy Kazik Gradowski i ja zdecydowaliśmy, że nadszedł czas, by spróbować uciec. Maszerowaliśmy obok siebie skrajnie po prawej stronie kolumny, i kiedy odległość między strażnikami po naszej stronie stała się wystarczająco duża, przeskoczyliśmy przydrożny rów i pobiegliśmy uciekając od kolumny tak prędko, jak się tylko dało. Minęło kilka sekund, zanim usłyszeliśmy pierwsze strzały pistoletów maszynowych i świst kul, ale biegliśmy dalej aż padliśmy kompletnie wyczerpani. Byliśmy na zaoranym polu, i dzięki lampom świecącym wzdłuż drogi mogliśmy zobaczyć, że kolumna zatrzymała się, ale po chwili ruszyła dalej. Dziwne było to uczucie czasowej wolności, w sercu Niemiec, gdzie zauważeni w więziennych ubraniach mogliśmy być zastrzeleni na miejscu. Zaczęliśmy iść w kierunku zachodnim, lecz gdy zaczęło świtać zdaliśmy sobie sprawę, że teren jest całkowicie płaski, zupełnie pozbawiony roślinności, wśród której można by było się schować podczas dnia. Było już jasno, gdy natknęliśmy się na głęboki rów i zamierzaliśmy się tam ukryć, gdy nagle znikąd pojawił się niemiecki żołnierz z hełmem i karabinem. Zapytał nas, co tu robimy, a ponieważ mój niemiecki był dość płynny, zacząłem wyjaśniać, że nasz cywilny obóz pracy został zbombardowany, a my staraliśmy się uciec przed bombami. Niespodziewanie żołnierz powiedział „Nie martwcie się. Również jestem Polakiem, przymusowo wcielonym do wojska, ponieważ mieszkałem na obszarze uznanym przez Niemców za teren Rzeszy. Uciekłem dwa dni temu; podczas dnia nikt nie zwraca na mnie uwagi, bo wszędzie jest mnóstwo żołnierzy, podczas nocy jednak staram się nie rzucać w oczy i chowam się wśród pól”. Powiedział nam, że nieopodal znajduje się wielonarodowościowy cywilny obóz pracy przymusowej, w którym jest dwóch Polaków, zapewne mogących nam pomóc. Powiedział, że musi teraz odejść, ale doradzał zaczekać na niego w rowie, aż wróci. Czekanie ciągnęło się dla nas, zmarzniętych i głodnych, bez końca, aż do późnego popołudnia, kiedy wrócił tym razem w cywilnym ubraniu i niosąc walizkę. Pożarliśmy natychmiast przyniesiony przez niego chleb, dostaliśmy też cywilne ubrania, które włożyliśmy, zakopując zniechęcone pasyaki w mulistym dnie rowu. Wśród przyniesionych przez niego ubrań były nawet czapki, bardzo ważne do zakrycia naszych rzucających się w oczy, wygolonych głów. Szacował, że front jest bardzo blisko, ze względu na dźwięk wybuchających bomb i dział artyleryjskich, oraz wycofywanie niemieckich oddziałów na północny wschód. Polecił nam zostać kolejną noc w ukryciu, sam zaś wrócił do miasteczka Köthen, by zostać z przyjaciółmi w obozie. Noc wypełniały hałasy frontowe, błyski i dźwięki wybuchów, ryk ciężkich silników na ziemi i w powietrzu, co było istną muzyką dla naszych uszu, bo byliśmy świadkami faktu, że rozpada się niezwyciężona niemiecka machina wojenna. O świcie odgłosy walki przeniosły się na wschód, ale słychać było jeszcze strzały rozlegające się w Köthen. Późnym popołudniem wyruszyliśmy, aby odnaleźć obóz, o którym wiedzieliśmy tylko, że znajdował się we wschodniej części miasteczka. Okazało się, że jest

pełen ludzi, mężczyzn i kobiet wielu narodowości europejskich, bez żadnych władz niemieckich. Najwyraźniej Niemcy uciekli nocą, bo Amerykanie byli już w miasteczku, i jedynie kilku Volksturmwów, ludzi starych lub młodych chłopców, kontynuowało walkę z niektórymi budynkami i dachami. Obóz składał się z szeregu typowych baraków, wypełnionych piętrowymi pryzmami, a ponieważ niektóre były wolne, nie mieliśmy problemów ze znalezieniem miejsca do spania. Następnego ranka strzały zamilkły i walka w miasteczku skończyła się.

Byliśmy w końcu wolni, i co więcej, wciąż żywi. Wtedy dopiero mój towarzysz Kazik powiedział mi, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Janusz Jarosz, i że był porucznikiem w polskiej armii w Szkocji, gdzie szkolono go w jednostce specjalnej, a następnie rzucono na spadochronie do Polski w 1943 roku. Złapano go na ulicach Warszawy na początku roku 1944, i bez sprecyzowanych oskarżeń wysłano do Auschwitz. Powiedział mi, że jego obecnym zadaniem jest powrót do jednostki macierzystej w Wielkiej Brytanii tak szybko, jak to możliwe, i że pomoże mi się tam dostać. Najważniejszym zadaniem do wykonania było zdobycie jakiejś żywności. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że cała żywność w Niemczech była racjonowana, i aby ją zdobyć potrzebne były odpowiednie kupony. Chociaż Köthen było zajęte przez Amerykanów, a ich jednostki administracyjne jeszcze nie przybyły, niemieccy urzędnicy pracowali w międzyczasie tak, jak dotychczas. Kiedy po przyjeździe do ratusza powiedzieliśmy, że jesteśmy polskimi więźniami politycznym z Buchenwaldu, urzędnicy stali się chętni do współpracy czy wręcz służalczy, i bez dalszych pytań wręczyli nam pożądane przez nas kupony dla wyimaginowanej grupy 10 osób, oraz pieniądze na zakup żywności. Naszym następnym posunięciem było pójście na stację kolejową, gdzie w stojących wagonach znaleźliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy. Każdy wagon mieścił 20 kg worki z makaronem, była też cysterna z 95% alkoholem. Jedna z ciężarówek wypełniona była niemieckimi mundurami formacji Afrika Corps, piaskowego koloru, i pomyśleliśmy, że warto się w nie przebrać, bo dzięki temu zyskamy więcej autorytetu u mieszkańców, którzy prawdopodobnie takich mundurów wcześniej nie widzieli. Po rozglądnięciu się, znaleźliśmy mały ręczny wózek i nieco 10-litrowych baniek na mleko. Wzięliśmy dwie z nich, wypełniliśmy alkoholem, i załadowaliśmy na wózek wraz z torbą makaronu przed powrotem. Obóz opustoszał, jego byli mieszkańcy odeszli w różnych kierunkach. Usadowiliśmy się w pomieszczeniu, z którego usunęliśmy wszystkie pryzmy, zużyte na opał do żelaznego pieca, ogrzewającego wnętrze i umożliwiającego gotowanie. Zostaliśmy tam przez mniej więcej dwa tygodnie, a w międzyczasie snuliśmy plany, jak najlepiej się stamtąd wydostać i przybyć do Anglii. Przemieszczanie się pieszo było czasochłonne i postanowiliśmy zdobyć jakiś pojazd, umożliwiający szybszy transport. W jednym z niemieckich domów zauważyliśmy mały motocykl o pojemności silnika 200 ccm, a kiedy powiedzieliśmy właścicielowi, że go potrzebujemy, wręczył nam kluczyk bez słowa protestu. Niewątpliwie mundury zrobiły na nim wrażenie, i być może myślał, że reprezentujemy do wojska okupacyjne. Janusz wcześniej pracował jako urzędnik ruchu kołowego, i potrafił jeździć każdym możliwym pojazdem, wsiedliśmy więc na motocykl i ruszyli. Od tego momentu nasze życie stało się znacznie łatwiejsze. Pewnego dnia pojechaliśmy na lokalne lotnisko, gdzie Janusz przedstawił się amerykańskiemu dowódcy, kapitanowi Fisherowi, od którego dowiedział się, że ten oczekuje lądowania samolotów ewakuacyjnych, wysyłanych od czasu do czasu by zabrać francuskich jeńców wojennych z pobliskiego obozu. Nie było ustalonego rozkładu lotów, i dostanie się na pokład zależało od decyzji pilota. Przez następne kilka dni dwukrotnie widzieliśmy, jak samolot podchodzi do lądowania, ale zanim dotarliśmy do oddalonego o 3 km lotniska, było już za późno, gdyż samolot zdążył odlecieć. Pewnego dnia zabawialiśmy amerykańskich

żołnierzy, którzy odkryli, że mamy wódkę, i zaglądali do nas, przynosząc podarunki w postaci trudnych do dostania papierosów lub czekolady. Janusz, który wyszedł na zewnątrz jakiś czas wcześniej, dał mi znak abym też wyszedł. Powiedział, że widział lądujący samolot i pojechał zasięgnąć języka. Samolotem była Dakota 3, i udało mu się porozmawiać z brytyjskim pilotem, nakreślając nasze położenie. Lotnik obiecał, że jeśli przyjedziemy w ciągu 15 minut, zabierze nas do Brukseli. Nie było czasu do stracenia; bez pożegnania naszych gości wsiedliśmy na motocykl i pojechaliśmy na lotnisko. Kiedy przybyliśmy na miejsce okazało się, że samolot co prawda wciąż tam jest, ale wypełniony francuskimi jeńcami. Drzwi były otwarte i pilot, ignorując protesty francuskich kompanów, kazał dwóm Francuzom wysiąść i kilka minut później siedzieliśmy w samolocie kołującym przed startem. Wylądowaliśmy w Brukseli 3 godziny później, gdzie spotkaliśmy członków Czerwonego Krzyża, od których otrzymaliśmy papierosy i czekoladę. W krótkim czasie Januszowi udało się nawiązać kontakt z brytyjskim konsulem, który zorganizował dla nas transport ciężarówką poza miasto do otoczonego lasem zamku. Byliśmy tam oczekiwani przez jedynych mieszkańców, brytyjskiego majora i dwie kobiety w mundurach, jedna z ATS [Auxiliary Territorial Service, Pomocnicza Służba Terytorialna] a druga z WAAF [Women's Auxiliary Air Force, Żeńska Służba Pomocnicza w Lotnictwie Królewskim]. Major zabrał nas do pokoju używanego jako magazyn, mieszczącego stopy Tommy gunów [amerykańskich pistoletów maszynowych] i innej broni, wręczył nam mundury polowe, po parze butów i berety, po czym zaprowadził do pokoju z łazienką. Powiedział, że obiad zostanie podany za godzinę, i że powinniśmy przyjść, gdy tylko będziemy gotowi. Wykąpaliśmy się szybko i przebrali. Kiedy dołączyliśmy do niego, zaproponował drinki, a wkrótce potem dwie dziewczyny przyniosły z kuchni prosty, ale pyszny posiłek. Panująca atmosfera była bardzo przyjacielska i miła, po obiedzie zaś dziewczyny włączyły płytę gramofonową z muzyką taneczną, spędziliśmy więc kolejne dwie godziny rozmawiając i tańcząc, dopóki major nie powiedział nam, żeby pójść do łóżek, gdyż nazajutrz mieliśmy zaplanowany wczesny wyjazd. Po śniadaniu przyjechał i zabrał nas pick-up z dwoma brytyjskimi sierżantami, którzy zawieźli nas do portu Ostend, gdzie przekazano nas na kuter rybacki obsadzony przez kapitana marynarki wojennej i dwóch brytyjskich sierżantów. Kuter wypłynął niezwłocznie, i było to dla mnie przejmujące doświadczenie, bo nigdy wcześniej nie widziałem morza. Wiał silny wiatr i morze było bardzo wzburzone, a wielkie fale miotają małą łodzią we wszystkich kierunkach. Wkrótce po odcumowaniu Janusz zapadł na chorobę morską i zszedł do kabiny. Ja zostałem przez cały czas na pokładzie i dobrze bawiłem się nowym doświadczeniem, aż po 7 godzinach przybiliśmy do Dover. Był 3 maja 1945 roku, kilka dni przed kapitulacją Niemiec. W porcie czekał na nas samochód, ponownie z dwoma sierżantami, którzy zabrali nas na stację kolejową, gdzie eskortowani przez jednego sierżanta wsiedliśmy do pociągu do Londynu. W tamtych dniach mówiłem płynnie po francusku i niemiecku, ale po angielsku nie umiałem ani słowa, i musiałem polegać na tłumaczeniu Janusza. Powiedział mi, że zostaliśmy ostrzeżeni przez eskortę, by nie podejmować żadnych prób rozmowy z innymi pasażerami w naszym przedziale. Półtorej godziny później pociąg przyjechał na stację Victoria, gdzie zostaliśmy przekazani dwóm cywilom, którzy zawieźli nas samochodem do dużego budynku, ogrodzonego wysokim ceglany murem, zwieńczonym tłuczonym szkłem i drutem kolczastym, dokąd dostaliśmy się przekraczając ciężkie, żelazne wrota, strzeżone przez uzbrojonych wartowników patrolujących zewnętrzną przestrzeń muru. Miejsce to bardzo przypominało więzienie, co w rzeczy samej było pierwotną funkcją budynku. Trzymano tam ludzi, którzy przybyli do Anglii bez dokumentów, na czas weryfikacji ich tożsamości. Później dowiedzieliśmy się, że miejsce to znajdowało się w Balham, i było powszechnie znane jako

„szkoła patriotów”. Przebywając tam byliśmy traktowani bardzo dobrze. Jedzenie było wyśmienite, dostawaliśmy też codziennie paczkę papierosów Craven, nie było więc na co narzekać, i obaj czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Januszowi pozwolono zadzwonić do jego jednostki i wypuszczono po dwóch dniach, ja natomiast musiałem zostać na dwa tygodnie, będąc przesłuchiwany codziennie przez około 6 godzin. Oficer przesłuchujący mnie mówił po polsku i skrętnie notował każde wypowiedziane przeze mnie słowo, gdy opowiadałem historię mojego życia. Zadawał wiele pytań w związku z okresem, spędzonym przeze mnie w Auschwitz i innych obozach. Pamiętałem wszystko doskonale, i byłem w stanie podać mu setki nazwisk esesmanów spotkanych przeze mnie, gdy byłem więźniem, oraz potrafiłem narysować dość dokładną mapę Auschwitz i okolic. Po kilku dniach, kiedy myślałem już, że opowiedziałem o wszystkich ważnych detalach, przesłuchujący zaczął zadawać podobne pytania po raz kolejny. Miało to oczywiście na celu wykazać niezgodności lub sprzeczności w moich opowieściach, które podważałyby ich wiarygodność. Musiało mi się powieść na tym egzaminie, ponieważ po dwóch tygodniach zwolniono mnie i przekazano pod opiekę przedstawicielowi Polskiego Rządu na Wychodźstwie, który zabrał mnie do domu żołnierza na Islington, gdzie polskim wojskowym wolno było mieszkać podczas pobytu w Londynie. Przebywałem tam około trzech tygodni, zgłębiając między innymi londyńskie metro, którym byłem zafascynowany. Wydawało mi się bardzo łatwe, by z jego pomocą dostać się do dowolnej części Londynu. Ćwiczyłem przesiadki do innych linii na wybranych stacjach i nabrałem w tym wprawy. Zaletą przedsięwzięcia była cena biletu, wynosząca jedynie półtora pensa. Bilety miały wydrukowaną nazwę stacji, na której zostały kupione, i musiały być pokazane tylko przy wyjściu ze stacji, aby kontroler mógł zobaczyć, że podróż została opłacona. Najtańsze bilety, jakie kupowałem, pozwalały na wyprawę nie dalszą niż dwie lub trzy stacje, musiałem więc zawsze wrócić w ten rejon. Pierwszego dnia badania systemu jeździłem metrem do późna, i kiedy dojechałem do Charing Cross, gdzie zamierzałem się przesiąść, by wrócić do Islington na stację Angel, okazało się, że stacja była już zamknięta na noc, i spóźniłem się na mój pociąg. A więc zgubiłem się w Londynie, mrocznym z powodu obowiązującego zaciemnienia, oddalony o kilka mil od schronienia, i nie będąc w stanie powiedzieć po angielsku ani słowa. Nie wpadłem jednakże w panikę, i zdecydowałem zrobić jedyną możliwą rzecz – zacząłem iść. Niebo było tej nocy bezchmurne, a dzięki zaciemnieniu znalazłem Gwiazdę Północną. Pamiętałem, że stacja Angel znajduje się mniej więcej w kierunku północno-wschodnim, i starałem się utrzymać ten kierunek. Niestety ulice Londynu nie mają długich prostych odcinków, i moje zadanie nie należało do łatwych. Mimo to 6 godzin później znalazłem pożądaną stację i wróciłem do domu. Pozwolono mi zostać w Anglii pod warunkiem, że dołączę do polskich sił zbrojnych, i wkrótce po przybyciu stanąłem przed komisją rekrutacyjną i przeszedłem kwalifikacje medyczną. Zostałem uznany za niezdolnego do pełnienia służby wojskowej, i pozwolono mi wstąpić na uniwersytet, by ukończyć edukację.

### **3. Okres powojenny**

#### **(a) doświadczenia angielskie**

Centrum Dowodzenia Polskiej Armii znajdowało się w hotelu „Rubens” niedaleko od stacji Victoria i, jednego dnia, kiedy kręciłem się po okolicy, szukając biura w którym byłem umówiony na spotkanie, natknąłem się w korytarzu na kolegę z czasów dzieciństwa, Jaśka Romanowskiego, którego nie widziałem od września '39 roku. Jasiek nosił mundur kapitana polskiej armii i powiedział mi, że służy jako adiutant generała Władysława Andersa, dowódcy Drugiego Korpusu Polskiego, walczącego podczas wojny we Włoszech. Żaden z nas nie miał czasu na rozmowę, umówiliśmy się więc na spotkanie w porze lunchu, żeby móc wymienić się nowinami.

Jasiek poszedł na wojnę ze swoim oddziałem kawalerii pierwszego dnia niemieckiej inwazji jego oddział wycofywał się w kierunku wschodnim, kiedy niespodziewany atak Sowietów zmusił ich do skierowania się na południe, i w końcu do przekroczenia granicy Rumunii, wtedy jeszcze państwa neutralnego. W efekcie wylądował we Francji, gdzie formowano polskie oddziały, ale wydano mu rozkaz powrotu do Polski z misją pomocy w zorganizowaniu podziemnego ruchu oporu. Przez Węgry dotarł do granicy, którą usiłował przekroczyć w nocy, gdy natknął się na sowiecki patrol graniczny. Wywiązała się strzelanina, podczas której zabił jednego Rosjanina, ale sam otrzymał postrzał w brzuch. Jakoś udało mu się dotrzeć do położonego opodal domu ukraińskiego chłopca. Kiedy opuszczał Francję otrzymał nieco złotych monet na wypadek sytuacji awaryjnych i dał dwie z nich chłopcu, który zapewnił go o chęci pomocy i polecił Jaśkowi położyć się i odpocząć. Dwie godziny później chłop przyprował sowiecki patrol, który go aresztował. Został przewieziony do Lwowa, gdzie leczono go w szpitalu przez dwa miesiące, a później przetransportowano do Moskwy. Przez kilka tygodni przechodził trzeci stopień przesłuchania, po którym został osądzony i skazany na śmierć. Został umieszczony w celi śmierci na Łubiance, gdzie oczekiwał na egzekucję. W tym samym czasie, o czym nie mógł wiedzieć, Hitler zaatakował Rosję 22-go czerwca 1941 roku i Polska zamiast być wrogiem nagle stała się sojusznikiem. Pewnego dnia drzwi celi otworzyły się, ale zamiast zostać poprowadzonym na egzekucję, został uwolniony. Generał Anders również był więziony na Łubiance i Stalin upoważnił go do utworzenia armii z półtora miliona Polaków deportowanych w głąb Rosji w latach 1939-41. Organizowanie tej armii napotkało na olbrzymie trudności bo Stalin, nie ufając Polakom, zapewnił fundusze wystarczające na 35,000 żołnierzy i czynił wszelkiego rodzaju przeszkody. Końcowo, w sposób graniczący z cudem, Stalin zgodził się aby polska armia, znana później jako Drugi Korpus, opuściła Związek Radziecki i wkroczyła do Persji podczas gdy inna polska armia pod dowództwem komunistycznego generała Berlinga pozostała w Kraju Rad. Z Persji Korpus przemieścił się do Iraku i do Palestyny, aż w końcu został przewieziony statkami do Włoch, gdzie walczył jako część 6. Armii pod dowództwem generała Alexandra. Jednym z największych osiągnięć Drugiego Korpusu Polskiego było zdobycie Monte Cassino, gdzie przez kilkanaście tygodni ufortyfikowani Niemieccy spadochroniarze zatrzymywali postępy sił aliantów. Po opuszczeniu Rosji Jasiek ożenił się z Ireną Graff, wdową, która również służyła w Drugim Korpusie. Obecnie przebywał przez kilka dni w Londynie by załatwić sprawy powierzone mu przez generała Andersa. Podczas lunchu spotkałem przyjaciółkę jego żony, Marysię Ostrowską, ochotniczkę pracującą dla Czerwonego Krzyża, która bardzo mi pomogła podczas pobytu w Anglii. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie dla mnie zrobiła, było znalezienie mi wolnego pokoju u państwa Cree, angielskich prawników, w domu położonym na przedmieściu Upper Norwood, gdzie mieszkałem przez około sześć tygodni. W połowie

czerwca wysłała mnie bym się nieco wykurował do rodziny państwa Tallis w Tredegar w południowej Walii.

Jasiek wrócił do cywila w 1946 i przeprowadził się do Londynu, gdzie dostał się na uniwersytet, by dokończyć studia mechaniczne przerwane wybuchem wojny. Kupili dom na Ealing i po ukończeniu studiów i otrzymaniu tytułu naukowego wyemigrował do Kanady, gdzie kupił dom w Montrealu na 5611 Wentworth Avenue. Otrzymał pracę w rafinerii firmy Shell gdzie pracował przez 25 lat a później został niezależnym konsultantem odbywającym częste podróże do USA i do innych części świata. Ich pierwszy syn, Jacek, urodził się w Anglii a drugi, Andrzej, w Montrealu 10 lat później. Jasiek i Irena na zawsze pozostali moimi najlepszymi przyjaciółmi i byliśmy w bliskim kontakcie. Irena zmarła na raka w 1987, co bardzo odbiło się na Jaśku, i 10 lat później w czerwcu 1997 roku Jasiek zmarł nagle na atak serca.

Podczas pobytu w Londynie zapisałem się na kurs języka angielskiego dla początkujących na Politechnice Regent Street. Codziennie mieliśmy 5 godzin wykładów prowadzonych przez różnych nauczycieli nie mówiących w żadnym innym języku oprócz angielskiego. Było to dosyć wyczerpujące, jako że nie miałem bladego pojęcia o języku, a ponadto rozpocząłem naukę w połowie semestru. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w wieku 28 lat jest nieco późno na naukę nowego języka. W każdej klasie było około 20 uczniów, głównie mężczyzn, ale był też jedna bardzo atrakcyjna Polka, Magda Stryjewska, która przyjechała na wiozę ze Szwajcarii. Jaj mama, Zofia Stryjewska była popularną ilustratorką, miała podwójne obywatelstwo i spędziła wojnę we Szwajcarii gdzie zmarła. Magda, nie mając tam rodziny, postanowiła przyjechać do Anglii uczyć się języka. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i spędzaliśmy większą część wolnego czasu razem. Mieszkała w pobliżu Maida Vale czy Warwick Avenue gdzie wynajmowała pokój od polskiego rodzeństwa, Maćka i Danki Mars. Maciek, absolwent polskiej Akademii Sztuk Pięknych, zarabiał na życie ilustrowaniem a Danka, również wykształcona artystka, pracowała w Polskim Tymczasowym Komitecie Edukacji. Oboje byli ponad 10 lat starsi ode mnie, bardzo inteligentni i interesujący. Żadne z nich nigdy nie wstąpiło w związek małżeński i obydwójce mieli złote serca. Traktowali Magdę bardziej jako członka rodziny niż jako lokatora.

Podróż autobusem z Upper Norwood do szkoły trwała dłużej niż godzinę, ale nigdy nie spóźniłem się na lekcję i zawsze przykładałem się, jak tylko mogłem. Państwo Cree, od których wynajmowałem pokój, mieli dwie córki. Starsza wyszła za duchownego, pastora Daniela Jenkinsa, z którym miała 3-letnią córkę; wszyscy mieszkali z jej rodzicami. Młodsza siostra służyła podczas wojny w Żeńskiej Służbie Pomocniczej w Lotnictwie Królewskim i miałem okazję ją spotkać, gdy przyjechała do domu na 10-dniowy urlop. Była bardzo atrakcyjna i już zaręczona; ślub miał się odbyć w bliskiej przyszłości. Podczas urlopu starała się mi pomagać z moją pracą domową ale mieliśmy takie problemy z komunikacją, że jej wysiłki nie przyniosły wiele korzyści. Pan Cree był wysoki i szczupły, z przyciętym wąsikiem i, sprawa oczywista, pracował bardzo ciężko wychodząc z domu wcześniej i wracając późno. Pani Cree miała zupełnie białe włosy, co powodowało że wyglądała na więcej lat niż zapewne w rzeczywistości liczyła. Podczas mojego pobytu odwiedziła ją raz czy dwa pani Nixon, jej siostra, znana w rodzinie jako ciocia Olive. Była malutką, starą kobietą o której wspominałam, bo nieco później przeczytałem w gazecie, że jej ciało znaleziono w Hyde Park, gdzie prawdopodobnie stała się ofiarą rabunku i morderstwa. Jakkolwiek wszyscy członkowie rodziny Cree byli wyjątkowo łaskawi i mili moje braki językowe uniemożliwiały nasze bliższe poznanie. Po opuszczeniu ich domu utrzymywałem z nimi przez jakiś czas kontakt a znacznie

później, kiedy studiowałem w Cambridge, pan Cree przyjechał i poprosił mnie o pomoc w znalezieniu miejsca na cmentarzu przy Huntigton Road.

Po opuszczeniu Szkoły Patriotic, odnowiłem kontakt z Januszem Jaroszem, któremu w międzyczasie zaczęło się dobrze powodzić. Otrzymał zaległą wypłatę żołdu porucznika należną mu za poprzednie dwa lata, dostał też bezterminowy urlop zdrowotny i obecnie mieszkał w Londynie ze swoim bratem, kapitanem Żandarmerii Wojskowej w wynajętym mieszkaniu, gdzieś w pobliżu Chalk Farm. Kiedy skończyły mu się pieniądze, otrzymał pracę na stanowisku zarządcy na farmie w Norfolk (miał tytuł magistra rolnictwa, uzyskany na polskim uniwersytecie), a po roku przeprowadził się do Irlandii na farmę hodowli koni. Ostatni raz, kiedy miałem od niego wiadomości, pracował jako zarządca na farmie w pobliżu Phoenix w Arizonie. Potem straciliśmy kontakt, ale słyszałem, że powrócił do Polski i wykładał na uniwersytecie w Krakowie.

Zanim miałem okazję zacząć intensywnie uczyć się angielskiego na Politechnice Regent pani Ostrowska powiedziała mi, że otrzymała propozycję, bym zamieszkał i podreperował zdrowie w południowej Walii. Wyjechałem w połowie czerwca do Tredegar, gdzie mieszkali państwo Tallis, moi gospodarze. Pan Roy Tallis był zarządcą kopalni węgla, a podczas wojny dowodził miejscową milicją w stopniu majora. Pani Tallis była przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Angielsko-Polskiej, i to zapewne było powodem, dla którego zostałem przez nich zaproszony. Mieli dwóch nastoletnich synów, 16-letniego Nevila i 13-letniego Jana. Ich dom, otoczony ładnym ogrodem, był jednym z największych w Tredegar i państwo Tallis w sposób oczywisty należeli do miejscowej śmietanki towarzyskiej. Wszyscy byli niezwykle uprzejmi i mili dla mnie co spowodowało, że pobyt u nich był wspaniałymi wakacjami. Chłopaki zabierali mnie na filmy i przyjęcia ze swoimi przyjaciółmi, ale że nikt z nich nie mówił w innym języku niż angielski komunikacja była bardzo utrudniona. Próbowałem wytłumaczyć państwu Tallis, że w Polsce byłem studentem Akademii Rolniczej, lecz moje kształcenie przerwała wojna, i że mam nadzieję je wznowić w Zjednoczonym Królestwie. Zapewnili mnie, że mogą zorganizować przyjęcie mnie w Usk w sąsiednim hrabstwie Monmouthshire gdzie mógłbym tego dokonać. Kilka dni później zawieźli mnie do Usk i przedstawili panu Purvis, który pokazał nam różne klasy, laboratoria itp. Na końcu powiedział, że zostanę przyjęty i powinienem się zgłosić na początku roku akademickiego we wrześniu. Szkoła nazywała się Instytut Rolniczy Momouthshire, i chociaż wyglądała raczej na małą nie zadawałem pytań, bo w końcu co mogłem wiedzieć o uniwersytetach w tym kraju? Napisałem do w Polskiego Tymczasowego Komitetu Edukacji informując o moim przyjęciu do Usk i prosząc o stypendium, które umożliwiłoby mi dalszą naukę. Otrzymałem odpowiedź, że zapłacą za moje lekcje i przekażą 20 funtów każdego miesiąca, jeśli będę zdawał wszystkie wymagane egzaminy. Jeśli któryś obleję stypendium ustanie.

Przybyłem do instytutu wymaganego dnia i otrzymałem pokój na drugim piętrze jednego z domków, zamieszkałego przez pracownika farmy, dzieląc go z innym studentem, Janem Bramwell. Stopniowo dowiadywałem się o instytucie coraz więcej. Dni powszednie rozpoczynały się pracą na farmie między 6 i 8, potem śniadanie, a następnie wykłady od 9 do 12. 2-godzinna przerwa na lunch i więcej pracy do 5 po południu. Obiad podawano o 6. Szkoła była koedukacyjna i liczyła 50 studentów podzielona na 2 wydziały: rolniczy (28) i ogrodniczy (22). Studenci rozpoczynali tu kształcenie po ukończeniu zwykłej szkoły, i średnia wieku wynosiła 18 lat.

Podczas wykładów studenci mieli robić notatki, a czasami dostawali podsumowania pisane na maszynie. Niestety nie byłem w stanie sporządzać notatek i zazwyczaj pożyczalem



te napisane przez mojego kolegę z pokoju – Jana Bramwella. Przepisywałem je w czasie wolnym i starałem się wydobyc ich znaczenie z pomocą słownika, przy okazji ucząc się na pamięć każdej strony. Pracowałem codziennie do 1 w nocy włączając soboty kiedy to nie mieliśmy wykładów, a tylko wymagano od nas pracy na farmie do południa, oraz w niedziele, które były wolne. Byłem krańcowo zmęczony przez większość czasu i miałem wrażenie, że głowa mi pęknie. Wytrwałem jednakże wiedząc, że pierwsze egzaminy mają miejsce w grudniu i pomyślnie ich zaliczenie jest dla mnie sprawą życia i śmierci. Kiedy w końcu nadszedł dzień egzaminu wszystko co mogłem zrobić to przeczytać pytania i zgadywać, do której strony moich notatek się odnoszą, oraz napisać wszystko, co z niej pamiętam. Niektóre pytania były łatwiejsze niż inne, ale generalnie było to bardzo męczące. Po 4 dniach otrzymaliśmy wyniki i, ku mojej ogromnej uldze, zdałem wszystkie przedmioty zajmując 18 lokatę spośród 28 studentów.

Większość naszych wykładowców była stosunkowo młoda, część z nich to dziewczęta, wprost po koledżu, i w wielu wypadkach młodszy ode mnie. Podczas przerw na posiłki często zapraszali mnie do pokoju nauczycielskiego i doskonale zdawali sobie sprawę z moich trudności językowych. Wszyscy wyrazili swoje zaskoczenie rezultatem moich egzaminów i nie mogli uwierzyć, że poradziłem sobie tak dobrze. Oczywiście więcej uwagi poświęcałem dziewczętom, kilka było bardzo atrakcyjnych, ale nigdy nie pozwoliłem sobie na zboczenie z codziennej rutyny i spotykałem się wyłącznie w pokoju nauczycielskim podczas przerw na posiłki. Jedzenie w instytucie było proste, ale pod dostatkiem, i w połączeniu z ćwiczeniami podczas pracy na farmie nabrałem wagi i stałem się dość sprawny. Nasze zajęcia praktyczne składały się ze spędzania kilku tygodni w różnych działach np. na farmie mlecznej, kurzej, zajmującą się hodowlą owiec i świń. Nieco czasu spędzaliśmy operując traktorem z doczepionymi różnymi narzędziami. Najwięcej czasu spędzaliśmy jako zwykli pracownicy farmy, uprawiając i zbierając rośliny okopowe, kosząc siano, zbierając i młóćąc zboża, robiąc stogi i sadząc żywopłoty. Stopniowo stawaliśmy się zaznajomieni z każdym aspektem pracy na farmie.

Egzaminy drugiego semestru miały odbyć się w kwietniu, i do tego czasu nauczyłem się angielskiego wystarczająco by zrozumieć pytania i czuć się bardziej komfortowo podczas pisania odpowiedzi. Kiedy przedstawiono wyniki okazało się, że jestem 8 spośród 28. Kilku nauczycieli pomogło mi napisać listy motywacyjne na różne uczelnie. Wydaje mi się, że wysłałem ich 6, ale otrzymałem same negatywne odpowiedzi. Zdesperowany postanowiłem ubiegać się o przyjęcie do Uniwersytetu Polskiego, będącego oddziałem Uniwersytetu Londyńskiego, a że nie mieli wydziału rolniczego ubiegałem się o miejsce na wydziale chemii. W odpowiedzi napisano mi, że muszę zdać egzaminy wstępne, mające miejsce w lipcu w Londynie. Egzaminy obejmowały takie przedmioty jak fizyka, matematyka i angielski. Były to wiadomości naprawdę złe. Upięknęło ponad 10 lat odkąd opuściłem szkołę, i od tej pory nie miałem zupełnie do czynienia z matematyką czy fizyką i jedynym pozytywnym zaliczeniem, na które mogłem liczyć był angielski, który do tego czasu opanowałem w sposób wystarczający. Pomimo to, nie mając żadnej alternatywy, zdecydowałem się spróbować, i zrobić wszystko, co w mojej mocy. Nadal przygotowywałem się do końcowych egzaminów w intuicji, których termin był wyznaczony na początek sierpnia.

W lipcu, tuż przed egzaminami, pojechałem pociągiem z Newport do Londynu i zameldowałem się w Uniwersytecie Polskim. Pytania z fizyki i matematyki były dalece za trudne, a pytanie z angielskiego wprawiło mnie w osłupienie. Wymagano ode mnie napisania wypracowania na temat angielskich kwiatów polnych! Nawet po polsku znałem jedynie kilka

nazw takich kwiatów, jak więc miałem pisać o nich po angielsku? Nie trzeba dodawać, że oblałem w 100% wszystkie przedmioty i następnego ranka wsiadłem do autobusu do stacji Paddington, by złapać pociąg do Newport. Autobus mijał Palace Gate, gdzie mieściła się siedziba Polskiego Komitetu Tymczasowego, i przez chwilę myślałem, że może lepiej powinienem poinformować odpowiedzialnych za przyznanie mi dotacji o mojej mizernej porażce, ale po chwili zdecydowałem, że to nie ma sensu. Autobus zatrzymał się na przystanku i ponownie ruszył, kiedy na skutek niewytłumaczalnego impulsu zmieniłem zdanie i wyskoczyłem z jadącego już pojazdu. Nie mogłem zrozumieć, co popchnęło mnie do tego czynu i, prawie z żalem, doszedłem do wniosku, że powiniem pójść do biura. Szedłem korytarzem z drzwiami do biur po każdej stronie, kiedy jedne z nich otwały się, i pojawiła się w nich Danka Mars, której nie widziałem od ponad roku. Przywitała mnie ciepło pytając, jak się miewam. Szybko opowiedziałem jej o mojej sytuacji i o tym, że perspektywy na kontynuację nauki są mizerne. Kiedy Danka wysłuchała wszystkiego zaprosiła mnie do swojego biura, i natychmiast zaczęła pisać list na maszynie, który umieściła w kopercie zaadresowanej do pana Williama Thatchera, rektora koledżu Fitzwilliams. Powiedziała mi, abym bez zwłoki wsiadł do pociągu do Cambridge, i osobiście dostarczył list. Wytłumaczyła mi, że pan Thatcher wie, jak ciężko Polacy mieli podczas wojny i po niej, i dlatego zarezerwował 20 miejsc w koledżu, któremu przewodniczył, wyłącznie dla Polaków. Danka była osobą odpowiedzialną za rekrutację odpowiednich kandydatów. Miałem wyjątkowe szczęście, bo pozostało jeszcze tylko ostatnie miejsce.

Dotarłem do koledżu przed południem i wręczyłem list sekretarce. Po chwili wprowadzono mnie do biura pana Thatchera. Był wysokim, szczupłym mężczyzną po pięćdziesiątce o rumianej karnacji, z twarzą nieco zniekształconą blizną po kuli na lewym policzku. Miał rzednące szare włosy i ciepłe, niebieskie oczy. Poprosił mnie, bym opowiedział swoją historię z czasu wojny i opisał moją obecną sytuację, zadał kilka pytań i powiedział, że zamierza mnie przyjąć do koledżu Fitzwilliams pod warunkiem zaakceptowania mnie przez Wydział Rolnictwa, i dlatego mam się spotkać z panem Ede celem odbycia rozmowy kwalifikacyjnej. Biuro pana Ede było położone niedaleko, i pół godziny później siedziałem naprzeciwko niego przy dużym biurku. Opowiedziałem mu o mych rozpoczętych studiach w Polsce, ale bardzo zainteresował się gdy usłyszał, że niewiele mi zostało do ukończenia kursu w Instytucie Rolnictwa w Monmouthshire. Powiedział, że szkoła powinna mnie przyjąć, lecz powinienem odbyć 6-tygodniowe letnie seminarium chemii i botaniki na koledżu w Londynie.

Trudno mi było uwierzyć w tak szczęśliwy splot wypadków. Z dnia na dzień moje problemy rozwiązały się, i nie tylko że mogłem kontynuować swoją edukację, ale na dodatek umożliwiono mi robić to w jednym z najświetniejszych angielskich uniwersytetów. W drodze powrotnej do Usk wciąż wydawało mi się to zbyt pięknym snem, ale teraz musiałem powrócić do rzeczywistości i zabrać się do pracy przed końcowymi egzaminami w instytucie. Kiedy dzień egzaminów nadszedł, odpowiadanie na pytania było już łatwe. Miałem wszystkie wiadomości zapisane w głowie i jedyną trudnością było zdążyć przelać je wszystkie na papier. Po ich zakończeniu, kiedy oczekiwaliśmy na przemówienie podsumowujące rok i rozdanie dyplomów przez pana Purvisa co miało się wydarzyć po południu, pozwoliłem sobie, po raz pierwszy, na luksus pójścia do miejscowego pubu w wiosce. Pojechałem z dwoma przyjaciółmi z grona nauczycielskiego i wypiliśmy kilka toastów za naszą przyjaźń i za koniec roku szkolnego. Ponieważ od dawna nie spożywałem żadnego alkoholu zaczęło mi się kręcić w głowie i kiedy wróciliśmy i wszyscy byli zebrani by wysłuchać przemowy naszych

mentorów, ja niezbyt słuchałem, o czym mówią. W jednym momencie usłyszałem ‘a naszym najlepszym tegorocznym studentem został Ted Wisniouski...’ na co też nie zwróciłem uwagi aż spostrzegłem, że wszyscy na mnie patrzą i chyba powinienem podejść do mównicy by odebrać mój dyplom.

Rok spędzony w Usk, gdzie dogłębnie poznałem angielski, był wspaniałą okazją do nauki języka i nie wydaje mi się, że bym gdzie indziej miał równie sprzyjające warunki do uczynienia tak wielkich postępów w stosunkowo krótkim czasie. Mając iść na uniwersytet, gdzie standardy wymaganych postępów są znacznie wyższe, nie byłbym w stanie sobie poradzić i całe przedsięwzięcie mogłoby się zakończyć katastrofą.

Początki w Cambridge były bardzo trudne. Przygotowując wypracowanie w bibliotece spędzałem przynajmniej dwukrotnie więcej czasu czytając i pisząc niż moi urodzeni w Anglii koledzy. Nawet moi najlepsi przyjaciele, również studiujący rolnictwo Karol Godlewski i zgłębiający historię Piotr Wandycz (przyrodni brat Maćka i Danki) mieli nade mną przewagę, bo przybyli do Anglii z Francji latem 1940. Obaj służyli w polskiej armii w Anglii ale nie zostali wysłani za granicę, a że byli ode mnie 4 lub 5 lat młodszy, nauka języka łatwo im przyszła. Obaj byli studentami drugiego roku, w związku z czym mieli już cały rok doświadczenia nabytego w uniwersytecie. Karol został kapitanem klubu wioślarskiego koleżdu Fitzwilliams i przekonał mnie, bym i ja wstąpił w jego szeregi. W tym czasie nasz klub dysponował 3 łodziami na rzece Cam i jako żółtodziób otrzymałem miejsce w trzeciej zwanej łódką rugbystów. Cam to wąska rzeka i łodzie wyruszały w ustalonym porządku jedna za drugą w kolejności, jaka została ustalona poprzedniego roku. Łodzie były podzielone na 4 grupy, 1 zaczynała przed drugą i tak dalej. Po starcie każda załoga usiłowała wyprzedzić łódź płynącą z przodu, i jeśli to się udało, następnego dnia zajmowała miejsce przed nią. Żeby tego dokonać, dziób łodzi wyprzedzającej musiał minąć ster łodzi wyprzedzanej. Moja łódź była ostatnia w 4. grupie, tak więc przynajmniej nie mieliśmy za sobą nikogo, kogo trzeba by się obawiać, niemniej jednak musieliśmy wiosłować przez całą długość toru wynoszącą około 4 mile. Śnieg i mróz są niezwykle rzadkie w Cambridge, ale tamtego roku oba zjawiska miały miejsce i brzegi były pokryte śniegiem tego dnia, gdy rozpoczęliśmy wiosłowanie w drodze do wyznaczonego na rzece miejsca. Wkrótce po odbiciu od brzegu uderzyliśmy w jakąś podwodną przeszkodę, przez co powstała dziura w kadłubie i łódź zaczęła tonąć. Cała załoga zdążyła wydostać się w porę bez przemoknięcia, ale droga do klubu, gdzie zostawiliśmy rowery, była długa i zimna. Tak zakończyła się moja wioślarska kariera, bo zdecydowałem, że nie mogę sobie pozwolić na pochłaniające mnóstwo czasu treningi wymagane przez klub.

Koledź Fitzwilliams miał wtedy bardzo mały budynek, przeznaczony wyłącznie na biura, jadalnię, kuchnię i mieszkało w nim jedynie kilku rezydentów. Większość studentów mieszkała w przydzielonych licencjonowanych pokojach uzyskanych od właścicieli domów prywatnych, podnajmujących część domu. Przydzielono mi miejsce w domu przy 60 Halifax Road, należącym do wdowy pani Ethel Symonds, składającym się z dwóch sypialni na piętrze i pokoju dziennego na parterze. Lokum dzieliłem z innym Polakiem, Karolem Krótkim. Moja sypialnia była malutka z jednym podwójnym oknem ze szparami grubości palca i elektrycznym kominkiem wyposażonym w licznik, do którego należało wrzucać monety, jeśli chciało się go uruchomić. Ta sama procedura dotyczyła łazienki dostępnej z korytarza i która również miała aparat do wrzucania monet, jeśli ktoś chciał się wykąpać. Opłata za moje zakwaterowanie wynosiła 5 funtów na miesiąc.

Uniwersytet sprawował nadzór nad studentami wymagając, by nocowali zawsze tam, gdzie zostali zakwaterowani. Wszyscy byli zobowiązani znajdować się w swoich rezydencjach,

koledżach lub wynajmowanych pokojach przed północą. Po tej godzinie drzwi wejściowe zamykano i ci, którzy zostali na zewnątrz stawali w obliczu kary wydalenia. Pani Symonds była bardzo dokładna w przestrzeganiu tych zasad i zawsze czekała na powrót każdego z nas przed zamknięciem drzwi. Od wszystkich studentów koledżu Fitzwilliams wymagano przynajmniej dwa razy w tygodniu obecności w „Halls”, co oznaczało spożywanie obiadu w koledżu kosztującego 5 szylingów. Wszystkie inne posiłki jadałem w Restauracji Brytyjskiej lub w kantynie sił powietrznych, które miały zaletę bardzo niskich cen, jakkolwiek były paskudne. Racjonowanie żywności w Anglii trwało jeszcze 4 lata po wojnie, a że obejmowało nawet ziemniaki, ludzie na ogół byli głodni.

W Cambridge każdy musiał mieć rower, zdobyłem więc takowy za 10 szylingów, a po trzech latach sprzedałem za funta, osiągając 100% zysk. Inną istotną rzeczą była studencka toga. Wymagano noszenia tog w Halls, podczas egzaminów i po zmroku tj. po 8 wieczór. Po tej godzinie ulice Cambridge patrolował noszący długą togę cenzor, kroczący przed dwoma odźwiernymi, potocznie zwanych buldogami, ubranymi na czarno i w wysokich kapeluszach. Jeśli cenzor spostrzegł na ulicy młodego człowieka bez togi wskazywał go buldogom, którzy zbliżali się do młodzieńca i, uchylając kapeluszy, grzecznie go pytali czy jest członkiem uniwersytetu. Jeśli odpowiedź była twierdząca prosili go o porozmawianie z cenzorem, w przypadku negatywnej przeproszali i wycofując się, starali się zapamiętać jego twarz. Kara za brak togi po zmroku wynosiła 10 szylingów. Czasami winny student usiłował uciekać, ale miał marne szanse powodzenia, bo buldogi znani byli ze swej szybkości i zazwyczaj dopadali ofiarę. Wiele z tych osobliwych zwyczajów brało początek z wieków średnich stosowanych wobec nastoletnich chłopców, podczas gdy po wojnie większość studentów to ex-wojskowi ze średnią wieku 25 lat i w wielu przypadkach oficerowie wysokiej szarży, którym trudno było zaakceptować te zabawne ustalenia. Jeden z moich angielskich kolegów, Ted Stern, niezwykle rycerski człowiek, który stracił na wojnie prawe przedramię, jednego wieczoru stał na chodniku przed wejściem do swego koledżu, paląc papierosa i rozmawiając z innym studentem, nie mając togi. Spostrzegł to cenzor i wskazał Teda buldogom, a ci zapytali go grzecznie, czy jest członkiem uniwersytetu i kiedy przytaknął poinformowano go, że cenzor chciałby z nim pomówić. Ten zapytał się o nazwisko i nazwę koledżu, do którego należy, i wlepił mu karę 1 funta! 10 szylingów za brak ubrania akademickiego po zmroku i kolejne 10 za palenie na ulicy w czasie, kiedy powinien nosić togę (co było wbrew przepisom).

Jako student wybrałem 3 przedmioty, do których przydzielono mi prowadzącego. Z każdym z nich spędzałem godzinę tygodniowo, i zazwyczaj zadawano mi temat do opracowania w formie pisemnej. Wypracowanie przynosiłem tydzień później, a po kolejnym prowadzący przynosił je poprawione i dzielił się ze mną uwagami. Przygotowywanie wypracowań było dla mnie bardzo czasochłonne, bo – jak już wspomniałem – praca w bibliotece była utrudniona przez niedoskonałą znajomość języka. Jednakże praca z prowadzącym znacznie pomagała mi w poszerzeniu znajomości danego tematu. Podczas pierwszego roku ustaliłem normę pracy 8 godzin nie licząc wykładów i laboratoriów, i w rezultacie nie miałem w ogóle czasu na spotkanie się ze znajomymi lub poznawanie nowych. Ten pierwszy rok w Cambridge był niezwykle ważny. Wniósł wiele wyzwań które musiałem przezwyciężyć. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli to zaprzepaszczę, będę do końca życia kopał rowy. Praca w domu w czasie zimy była bardzo nieprzyjemna z powodu niskich temperatur i wysokiej wilgotności. Nie było mnie stać na wrzucanie monet do kominka, jak i również nie umiałem sobie poradzić z wiatrem świszczącym w szparach okna. Starłem się ograniczyć pracę w domu do minimum ale i tak musiałem spędzać tam trochę czasu. Pójście

do łóżka było paskudnym przeżyciem. Prześcieradło i poszwy były wilgotne i zimne i ogrzanie ich ciepłem własnego ciała trwało wieki, a dopiero wtedy byłem w stanie zasnąć.

Będąc studentem musiałem należeć do stowarzyszenia związkowego, co stwarzało pewne udogodnienia jak wstęp na jadalnię, korty do squasha itp, ale dla mnie główną atrakcją były dyskusje, które bardzo mnie interesowały. W swoim budynku stowarzyszenie związkowe miało wielkie pomieszczenie urządzone w stylu Izby Gmin, w którym studenci dyskutowali na różne tematy. Debaty miały miejsce wieczorami i dziś już nie pamiętam, jak często się odbywały, ale ich porządek składał się z wniosku, prezentowanego ogółowi, którego broniło dwóch mówców, a dwóch innych było przeciwnych. Po pierwszej mowie, stawającej w obronie wniosku, następowała tyrada próbująca go odrzucić, i tak na zmianę. Wnioski do dyskusji danego dnia były wywieszane przy wejściu i można było łatwo sprawdzić, czy debata ma szansę stać się interesującą. Pod koniec każdej dyskusji wszyscy obecni wychodzili przez drzwi oznaczone napisem 'tak lub 'nie' co umożliwiało obliczenie głosów. Wynik głosowania ogłaszano następnego dnia, a często ukazywał się prasie. Kiedy wnioski zawierały polityczne treści było w zwyczaju zapraszać członka Izby Gmin by wziął udział w debacie jako drugi mówca, i podczas moich lat studiów miałem okazję usłyszeć wielu członków parlamentu jak i członków tymczasowego rządu, utworzonego z Partii Pracy. Było przyjemnością słuchać tych gości, gdyż ich umiejętności krasomówcze stały na wysokim poziomie względem tego reprezentowanego przez miejscowych studentów, którzy próbowali nauczyć się tej sztuki.

Sesja egzaminacyjna rozpoczynała się w okolicach maja i w moim przypadku składała się z 90-minutowego pisemnego testu z pytaniami zamieszczonymi na otrzymanej karcie pisanej na maszynie z nagłówkiem 'Nie odpowiadaj na więcej niż x pytań' gdzie x było liczbą mniejszą o jeden od liczby wszystkich pytań, co dawało szansę zostawienia najtrudniejszego pytania bez odpowiedzi. Pamiętam teraz bardzo wyrywkowo, ile przedmiotów obejmował egzamin, ale że zawierał również laboratoria i przedmioty naukowe, egzamin ciągnął się przez kilka dni i zwłaszcza na pierwszym roku stanowił ciężką próbę. Ostatni dzień był poświęcony na napisanie wypracowania na specyficzny temat np. 'Erozja gleby' i otrzymana za nie ocena liczyła się tylko wtedy, jeśli podwyższała średnią, w przeciwnym wypadku była pomijana. Wyniki egzaminów były później wywieszane na przeznaczonym do tego miejscu na ścianie senatu uniwersytetu, i nazwiska studentów, którzy zdali były pogrupowane w klasy 1, 2, 3 i 'Zaliczone'. Nazwiska studentów, którzy oblali nie były publikowane. Trudno opisać, z jaką niecierpliwością czekałem na pojawienie się wyników. Przez szereg dni pierwszą rzeczą, którą robiłem każdego ranka był bieg do budynku senatu i oglądanie tak ważnej ściany, jednakże dzień po dniu nic nie mogłem znaleźć aż wreszcie, pewnego dnia wyniki pojawiły się. Odszukałem kartę z egzaminami pierwszego roku rolnictwa i sprawdzając od dołu, gorączkowo przeglądałem wydrukowane nazwiska. Nie było go w dziale 'zaliczone' i moje serce przestało bić, ale kontynuowałem poszukiwania w 3 grupie i tam je znalazłem. Co za sukces i ulga! Miałem teraz ponad 4 miesiące wakacji, podczas których musiałem znaleźć pracę celem uzupełnienia mojego niewystarczającego stypendium z Polskiego Tymczasowego Komitetu Edukacji. Podczas świątecznych przerw na Boże Narodzenie i Wielkanoc nie udało mi się znaleźć zatrudnienia, ponieważ musiałem skupić się na studiach, a że nie miałem dokąd się udać, zostawałem w swym studenckim lokum. Słyszałem jednak, że Instytut Badań w Salisbury poszukiwał ochotników, którzy byli gotowi służyć za króliki doświadczalne podczas świąt Bożego Narodzenia, i studenci z Oxford i Cambridge często z tej oferty korzystali. Nie oferowano żadnego wynagrodzenia, ale płacili za bilet kolejowy,

zapewniali jedzenie w tym również piwo i płacili za rozmowy telefoniczne w dowolne miejsce w Anglii. Pojechałem tam dwukrotnie i strasznie mi się spodobało. Ochotnicy byli zakwaterowani niedaleko Salisbury w szpitalu Harvard, który po wojnie został ofiarowany przez Amerykanów i składał się z kilku bardzo wygodnych blaszanych baraków. W każdym z nich mieściło się 6 sypialni, jadalnia i bawialnia. Oprócz tego były jeszcze dwa budynki administracji. Ochotnicy byli zakwaterowani parami, każda para w jednym baraku i każda para mogła spacerować po okolicznych polach, ale pod słowem honoru nie wolno było zbliżyć się do innych ludzi na mniej niż 200 stóp (60 metrów). Po przybyciu zebraliśmy się w budynku administracyjnym gdzie nakarmiono nas oraz zapoznano z zasadami, po czym każdej dwójce został przydzielony barak. Następnego ranka dzwonek u drzwi oznajmił przybycie jedzenia na cały dzień w wielkim termosie postawionym na schodach u wejścia. Byliśmy poinstruowani, aby nie otwierać drzwi przez 2 minuty tak, by roznosiciele mieli czas się oddalić. Trochę później przybyli doktor i pielęgniarka, oboje noszący maski, i zakropili nam nozdrza. Niektóre z dawek były zakażone wirusami przeziębienia, ale nie wiedzieliśmy który z nas je otrzymuje. Było to tajne i dostęp do tych informacji miał wyłącznie bakteriolog, który uchylał rąbka tajemnicy podczas przyjęcia na zakończenie po dwóch tygodniach przy zakończeniu testu. Otrzymywaliśmy również blankiety, na którym każdy z nas miał notować o której godzinie kichnął oraz informacje o samopoczuciu i innych objawach, o których już teraz nie pamiętam. Doktor i pielęgniarka odwiedzali nas codziennie by zmierzyć nam temperaturę i podać do nosów więcej kropel, ale nigdy nie ujrzałem ich twarzy i znałem jedynie ich głosy. Podczas mojej pierwszej wizyty w szpitalu Harvard w grudniu 1947 moim kolegą z pokoju był Krzysztof Zeeman z koledżu Downing, gdzie kształcił się w matematyce. Był miłym człowiekiem jego główne hobby stanowiła muzyka klasyczna i powiedział mi, że razem ze swoim kolegą z pokoju z koledżu, Cookiem, mają dużą kolekcję płyt, i w czasie wolnym od zajęć zabawiają się grą polegającą na puszczeniu losowo wybranego utworu i mierzeniu czasu swemu koledze, aż ten zidentyfikuje odtwarzany utwór. Kiedy po powrocie do Cambridge złożyłem im wizytę w ich rezydencji, byłem świadkiem ich gry i wprawiła mnie w zdumienie szybkość, z jaką każdy z nich potrafił określić melodię, gdyż czas rzadko kiedy przekraczał 6 sekund. W naszej siedzibie w szpitalu Harvard widywaliśmy się jedynie podczas posiłków i codziennych popołudniowych spacerów. Podczas przechadzek nie rozmawialiśmy wiele, ale jednego razu zapytałem Krzysztofa czy dużo pracuje, na co on ku mojemu zaskoczeniu odpowiedział 'Właśnie to robię' a potem rozwinął temat mówiąc, że na jego studiach rzadko używane są podręczniki, a pracuje się głównie stosując i rozwiązując różne wzory na ogół w pamięci. Kiedy podczas spaceru spotykaliśmy czasem przechodnia idącego w naszą stronę, wycofywaliśmy się aby zachować wymaganą odległość. Widocznie chętniejsze przyjmowanie studentów było spowodowane większą niezawodnością w przestrzeganiu zasad niż miejscowych pracowników fabryki papierosów Woodbine, którzy będąc ochotnikami zanani byli z robienia zakupów podczas przechadzek, co czyniło cały eksperyment nieważnym.

Podczas mojego pobytu w szpitalu uczyniłem znaczne postępy w nauce, jako że warunki ku temu były absolutnie doskonałe i zdecydowałem, że przyjadę w następnym roku. Przyjęcie pożegnalne okazało się być doniosłym wydarzeniem. Wszyscy spotkaliśmy się po raz pierwszy w dużym pomieszczeniu budynku administracyjnego, gdzie otrzymaliśmy wspaniały obiad i możliwość poznania twarzy i przyporządkowania ich do głosów znanych z masek lub rozmów telefonicznych. Podczas posiłku bakteriolog zdradził swe sekrety i dowiedziałem się, że nie otrzymałem wirusów i nie miałem złapać przeziębienia. Widocznie bakterie wywołujące katar i inne wirusy nie mogą rozwijać się w sztucznych warunkach

wystarczających zwykłym bakteriom, i muszą być zaszczerpione żyjącym nosicielom, co właśnie robiono w naszym eksperymencie. Badania w szpitalu Harvarda nigdy nie osiągnęły zamierzonego celu, a ostatnio dowiedziałem się, że je wstrzymano kilka lat temu. Następnego roku zaszczerpiono mi wirusa, lecz nie zostałem zainfekowany. Tym razem moim kolegą z pokoju został Jan Painter, student teologii na Oxford, którego odebrałem jako nudziarza i wielkiego materialistę. Wiele na jego temat nie pamiętam poza tym, że był niewierzący, a na Oxford wybrał kierunek kształcenia z zamiarem jak najszybszego zostania biskupem. Starałem się ograniczać nasze rozmowy do minimum, w rezultacie czego miałem więcej czasu na pracę.

Podczas wakacji letnich nie miałem żadnych problemów ze znalezieniem pracy. Nie pamiętam dziś kolejności chronologicznej w jakiej następowały, poukładałem je raczej według przyjemności, jaką mi dostarczały. Raz pracowałem w Chivers, u dużego producenta wszelakiego rodzaju dżemów i marmolady. Poszukiwali 20 studentów z Cambridge na stanowisko nadzorców w obozie z wymienną załogą liczącą około 700 studentów z całej Europy i innych osób wszelkiej możliwej narodowości, mieszkających w opuszczonej bazie wojennej RAF-u zlokalizowanej w środku regionu zajmującego się uprawą truskawek. Podczas sezonu na truskawki ciężarówki od Chivers przywoziły niekończące się dostawy świeżych jagód do przetwórstwa, zanim zostały umieszczone w beczkach i jechały do fabryki. Truskawki przyjeżdżały na drewnianych tackach, i zanim mogły być umieszczone w beczkach usuwano z nich zielone końce łodyg. Europejscy studenci drylowali owoce i byli opłacani za każdy napełniony koszyk podczas gdy nadzorcy skrętnie odnotowywali wyniki, i mieli przekładać owoce do beczek, które później były ładowane na ciężarówki opuszczające fabrykę. Moją pracą było tłumaczenie i wygłaszanie komunikatów przez głośniki w językach jakie znałem tj. angielskim, francuskim, niemieckim i oczywiście polskim, i ta kombinacja umożliwiała mi porozumiewanie się praktycznie ze wszystkimi. Byliśmy opłacani od godziny, dzień zaczynał się więc od rejestracji czasu pracy i na niej się kończył. Ponieważ byliśmy odpowiedzialni za czystość miejsca pracy, zazwyczaj pracowaliśmy 2 godziny dłużej niż pozostali. W nocy siedzieliśmy zazwyczaj przy ognisku i słuchaliśmy piosenek studentów innych narodowości. Po trzech tygodniach sezon na truskawki skończył się i większość nadzorców wyjechała, ale ja zostałem na 2 tygodnie dłużej, bo zaczynało się owocowanie porzeczek. Była to najprzyjemniejsza i najlepiej płatna praca, jaką udało mi się dostać podczas lata. Inna, jakiej się podjąłem, polegała na sprawdzaniu pól ziemniaczanych w okolicy Norfolk na obecność stonki ziemniaczanej i glisty. Pracowałem tam wraz z 5 innymi studentami, i wędrowaliśmy od farmy do farmy na rowerach; nasze wynagrodzenie było wypłacane przez Ministerstwo Rolnictwa, usiłujące kontrolować liczbę szkodników. Przy innej pracy poznałem Krzysztofa Atchinsona, z którym zdecydowaliśmy się zbierać jabłka. Wypożyczyliśmy namiot, który rozbiliśmy na farmie w pobliżu sadu jabłkowego i aby oszczędzać gotowaliśmy wszystkie nasze posiłki, składające się z płatków owsianych, na prymusie. Jabłka były składowane w dużych chłodniach z temperaturą nieco powyżej zera. Chodzenie po drabinie bez przerwy w górę i w dół jest ciężką pracą, a do tego trzeba nosić ciężkie kosze do ważenia, bo tutaj wynagrodzenie zależało od wagi zbiorów. Wspólnie zebraliśmy dobrych kilka ton jabłek i nieźle zarobiliśmy ale pod koniec mieliśmy tak dość owsianki z dodatkiem jabłek i czasami jajka, z której składała się nasza dieta, że cieszyliśmy się z zakończenia tej pracy. Innym zajęciem, jakie pamiętam na farmie jabłek było zbieranie spadów co było dość męczące, bo trzeba było chodzić nosząc ciężkie kosze i często schylać się, by przejść pod niskimi gałęziami. Otrzymywałem ówczesnie przyjętą pensję w rolnictwie, pracowało ze mną dwóch innych robotników, którzy nie przemęczali się i często

zatrzymywali na odpoczynek. Jednakże większość pracowników stanowili niemieccy jeńcy wojenni, których obóz znajdował się niedaleko. Wszyscy byli bardzo młodzi i ciężko pracowali pomimo tego, że dostawali 1 szylinga dziennie. Wprowadziłem się do nich i spałem na piętrowym łóżku w malutkim pokoju i płaciłem tylko swój udział w pensji pracownika, który nie chodził do pracy zajmując się gotowaniem dla wszystkich. Było ciekawym doświadczeniem mieszkać i rozmawiać z nimi widząc, jak mało wiedzieli o realiach życia w hitlerowskich Niemczech. Pamiętam, że jeden z nich pytał mnie, czy kiedykolwiek byłem w Niemczech i kiedy odpowiedziałem, że byłem w Buchenwaldzie zauważył, zupełnie niewinnie, że jego ojciec służył tam jako strażnik. Na jednej farmie, pracując z Krzysztofem, zbieraliśmy fasolę. Farmer podpisał kontrakt na dostawę fasoli w płytkich drewnianych skrzynkach, i płacił ustaloną sumę od każdej napełnionej. Wiedząc, że minimalna stawka w tej branży wynosi 17 szylingów od skrzynki zaproponował nam płacę od wykonanej pracy obiecując 15 szylingów od napełnionej paczki. Przez następne 3 dni Krzysztof i ja pracowaliśmy bardzo ciężko, i średnio zarobiliśmy 30 szylingów dziennie. Nie powinno to zrobić różnicy rolnikowi, jako że zebraliśmy dużo więcej niż mógł się spodziewać, ale nie spodobało mu się, że zarabiamy aż tyle i nagle zmienił sposób wynagadzania z płacenia od wykonanej pracy na zwyczajową zapłatę za dniówkę w sektorze rolniczym z tym skutkiem, że od tej pory przyjęliśmy tempo pracy innych robotników i koszty, jakie ponosił za każdą skrzynkę wymiennie wzrosły.

Podczas ostatniego lata przed ukończeniem studiów Krzysztof i ja zdecydowaliśmy, że powinniśmy nabrać doświadczenia przy poważnej pracy na farmie bez koncentrowania się wyłącznie na zarabianiu jak największej ilości pieniędzy. Krzysztof słyszał o farmerze nazwiskiem Edgar gdzieś w Hampshire, który posiadał nadzwyczajne stado mlecznych krów i świetną reputację. Napisaliśmy do niego zwracając się o pracę i zgodził się nas przyjąć na 8 tygodni lata jako pracowników od wszystkiego za najniższą stawkę przyjętą w rolnictwie. Po przybyciu na miejsce, menedżer farmy zakwaterował nas w jednym z domków należących do farmy z ceną, która nie rokowała na odłożenie wielu pieniędzy, ale że naszym celem było nabranie doświadczenia, chętnie się zgodziliśmy. Była to największa pomyłka, jaką kiedykolwiek popełniliśmy. Pierwszego dnia po przybyciu zostaliśmy skierowani do maszyny kopiącej ziemniaki, przy której doświadczyłem jednej z najcięższych i wyczerpujących prac wymagającej zbierania ziemniaków do koszu a po napełnieniu opróżniania ich do worków, które należało związać; przez cały dzień nie można było odpocząć nawet na minutę, bo w międzyczasie maszyna posuwała się do przodu a było nie do pomyślenia aby ją zatrzymać. Mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia to się skończy i dostaniemy coś innego do robienia; niestety, na próżno. Pozostaliśmy przy zbieraniu ziemniaków do ostatniego dnia, nigdy nie zobaczyliśmy słynnego Edgara, a pod koniec lata wyjechaliśmy z jedynie 8 funtami zarobionymi podczas całego pobytu na farmie. Aż tyle za zdobycie praktycznego doświadczenia na farmie.

Drugi rok w Cambridge był znacznie mniej traumatyczny niż pierwszy. Zauważalnie poprawił się zarówno mój angielski, jak i umiejętność studiowania, zaadoptowana do nowego środowiska. Udało mi się nawiązać przyjacielskie stosunki z kilkoma studentami, z którymi często się spotykaliśmy uaktualniając wiadomości zadając sobie wzajemnie pytania i odpowiadając na nie. Zauważyłem, że te spotkania pomagały ogromnie ugruntować wiedzę zdobytą podczas wykładów i późniejszej pracy w domu. Nasza grupa zazwyczaj składała się z 3 do 4 studentów, nie pamiętam dziś ich imion z wyjątkiem Johna Hilla, który później udowodnił, że jest doskonałym studentem, gdyż udało mu się, jako jedyńemu na naszym



roku, zdobyć nagrodę 1. stopnia za końcowy egzamin na trzecim roku. Było to wyróżnienie niezwykle rzadkie, i jeśli dobrze pamiętam, jedynie Ted Stern, bohater 2 wojny światowej bez ręki, również zdobył podobne. Wskutek spotkań naszej małej grupy, jeszcze przed końcem roku akademickiego poczułem się tak pewnie, że ostatniego tygodnia przed egzaminami przestałem pracować i próbowałem się odprężyć robiąc rzeczy, na które nie miałem czasu w ciągu roku z powodu mojego napiętego harmonogramu. Egzaminy na ostatnich dwóch latach były znacznie łatwiejsze i jedynym problemem podczas ich pisania był czas, w którym musiałem zdążyć odpowiedzieć na wszystkie wymagane pytania. Jedyny kłopot sprawiło mi 3-godzinne wypracowanie, którego nie potrafiłem napisać adekwatnie do moich pozostałych stopni, co spowodowane było nieodpowiednią znajomością języka. Wspomniałem wcześniej, że wypracowanie takie nie liczyło się do średniej, jeśli jej nie podwyższało. Schemat pracy, jaki sobie wyznaczyłem okazał się trafny, ponieważ podczas dwóch ostatnich egzaminów zakwalifikowałem się do 2 klasy wyników co uważałem za więcej niż wystarczające. Uroczystość wręczenia dyplomów miała miejsce w domu senatu jakiś czas później, i zaprosiłem na nią Jaśka Romanowskiego i Marysię Ostrowską. Przyjechali z Londynu i oglądali ceremonię z wysokiej galerii. Jasiek popełnił błąd chcąc fotografować uroczystość i został dostrzeżony przez jednego z buldogów, który zabrał mu film z aparatu. Nie wiedział o tym, że w domu senatu nie wolno robić żadnych zdjęć.

Kiedy emocje spowodowane otrzymaniem dyplomu ustąpiły zdecydowałem, że czas postarać się o pracę. Opuściłem Cambridge i wprowadziłem się do mieszkania mojej bratowej Wandy, która mieszkała w Southgate. Wanda była wdową po moim najstarszym bracie Janie, pilocie bombardiera zestrzelonym nad Niemcami podczas nalotu na Bremę w 1941. Był on oficerem rezerwy polskich sił lotniczych, pilotował myśliwiec a po krótkiej Kampanii Wrześniowej udało mu się przedostać do Francji, i stamtąd do Anglii. W tamtym czasie brak było doświadczonych pilotów i skierowano go do szwadronu Wellingtonów. Zginął podczas wykonywania 30. misji na terenie Niemiec. Miał z Wandą syna, Tomasza, urodzonego w grudniu 1937. Wanda była bardzo zamożna, ale straciła wszystko kiedy Rosjanie zajęli Lwów, i samej z dzieckiem było bardzo ciężko przez pozostałą część wojny. Znalazła się pod okupacją niemiecką, kiedy w czerwcu 1941 Niemcy zajęli Lwów, i przeniosła się wtedy do zachodniej części Polski. Przez pozostałą część wojny nie miała informacji o tym, że jej mąż nie żyje, ponieważ otrzymywała paczki żywnościowe najwidoczniej z góry opłacone przez Jana. Dopiero w tym czasie, kiedy przybyłem do Anglii dowiedziała się smutnej prawdy. Została przeszmuglowana do obozu dla uchodźców skąd pozwolono jej wejść na teren Anglii, gdzie otrzymała skromną pensję 10 funtów miesięcznie, jako wdowa po oficerze związanym z RAFem. Wynajmowała 2-pokojowe mieszkanie w Londynie, wysłała Tomasza do katolickiej szkoły z internatem w Ipswich i zapisała się na kurs szycia, by móc zarabiać na życie jako krawcowa. Jeden pokój wynajmowała, co pomagało jej w płaceniu czynszu za mieszkanie, które nawiasem mówiąc było bardzo liche. Mieszkała na samej górze 4-kondygnacyjnego budynku i kiedy było zimno, para wodna skraplała się na nieocieplonym betonowym suficie, i spadające krople odczuwało się jak deszcz. Wanda pozwoliła mi spać na kanapie w salonie, i tam pozostałem przez pierwszy rok po ukończeniu studiów. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem było zdobycie i wypełnienie podania do Biura Kolonialnego, gdzie zaznaczyłem Fiji jako preferencyjne miejsce otrzymania posady. Powiedziano mi, że moje podanie zostanie rozpatrzone i zostanę powiadomiony zgodnie z procedurą. W międzyczasie zacząłem odpowiadać na ogłoszenia zamieszczone w Tygodniku Farmera i innych gazetach by rozpocząć karierę rolniczą adekwatnie do poziomu wykształcenia. Łącznie wysłałem ponad 200 podań, niezmiennie otrzymując odmowne odpowiedzi. W tym czasie

zarejestrowałem się w biurze pracy, by otrzymać zasiłek dla bezrobotnych, co razem z dodatkiem opiekuńczym dawało kwotę 5 i pół funta. By otrzymać wypłatę musiałem meldować się osobiście co dwa tygodnie w Biurze Pracy, gdzie usiłowano mnie przekonać do posady portiera w metrze. Kiedy odpowiadałem, że jestem profesjonalistą i nie widzę związku między tą pracą i moimi kwalifikacjami odpowiedziano mi, że przyniesie to wiele wymiernych korzyści, jak możliwość podróżowania całym metrem i darmowe skarpety (nigdy nie odgadłem dlaczego). Zgodnie z panującymi zasadami, będąc wysiedleńcem nie miałem prawa podejmować żadnego zatrudnienia bez zgody ich biura. Przed wyrażeniem zgody mieli oni najpierw obowiązek sprawdzić, czy nie znajdzie się Anglik gotowy do podjęcia tej pracy. Podczas tego okresu ubiegałem się również o wizę emigracyjną do Stanów Zjednoczonych, ale przy obowiązującym limicie dla Polaków czas oczekiwania wynosił 10 lat. Kanada odmówiła mi pozwolenia na wjazd a Australia, która wtedy nie tylko udzielała wiz, ale jeszcze płaciła za przejazd, z powodów których teraz nie pamiętam nie pobudzała mojej wyobraźni. Po 9 miesiącach bezowocnych poszukiwań czegoś odpowiadającego zdecydowałem, że już czas postarać się zmienić bieg spraw. Przez moich polskich znajomych dowiedziałem się, że we wschodnim Londynie jest pewien Polak, który ma fabrykę produkującą gumowa piankę 'Dunlopill'. Właściciel pracował przed wojną jako inżynier chemii w fabryce Dunlopa w Polsce, a kiedy wojna wybuchła zabrał ze sobą wszystkie tajniki produkcji i receptury i w końcu, po wojnie, znalazł się w Anglii, gdzie otworzył małą fabrykę, i w oparciu o zachowane przepisy zajął się produkcją poduszek piankowych. Miał dwóch pracowników ale potrzebował jeszcze jednego, i zamierzał mi dać pracę robotnika niewykwalifikowanego. Kiedy następnego razu powiadomiłem Biuro Pracy o tej ofercie, zadzwonili do właściciela i powiedzieli mu, że jeśli ma wakat powinien starać się o pracownika za ich pośrednictwem, na wypadek gdyby jakiś Anglik był skłonny podjąć taką pracę. Kiedy odpowiedział, że potrzebuje robotnika, z minimalną stawką, który ma dość dobre pojęcie o chemii, niechętnie udzielono mi zgody na podjęcie tej pracy. Fabryka znajdowała się we wschodnim Londynie, więc zajmowało mi prawie godzinę, żeby się tam dostać metrem, po czym jeszcze 15 minut spaceru ze stacji. Było to małe przedsiębiorstwo, gdzie pracowało dwóch zatrudnionych już wcześniej Polaków. Były tam różne mieszadła i matryce, do których wlewano gotową mieszaninę, jak również kilkanaście zbiorników różnych odczynników chemicznych w postaci płynów i proszków, oraz duża ilość toreb i stalowych bębnow zawierających niezbędne chemikalia. Praca musiała być wykonywana z wielką starannością, ponieważ proporcje w jakich chemikalia były mieszane jak i długość czasu procesu były ściśle określone. Właściciel i obaj pracownicy byli przyjaźnie nastawieni i praca tam była prawdziwą przyjemnością. Poduszki piankowe były w tamtych czasach innowacją i cieszyły się dobrym zbytem, toteż codziennie ładowaliśmy je na ciężarówki, by podołać wszystkim zamówieniom. Moja płaca była niewiele wyższa niż ta, którą otrzymywałem z Biura Pracy, ale główną zaletą było uwolnienie od okropnych biurokratów i znamienia utrzymywania się z zasiłku. Nie miałem czasu, by dostatecznie docenić nową pracę, ponieważ po 3 miesiącach, dokładnie w rok po wypełnieniu aplikacji o pracę w Biurze Kolonialnym, otrzymałem od nich odpowiedź – ofertę objęcia stanowiska jako urzędnik rolniczy na Złotym Wybrzeżu z pensją, która przyprawiła mnie o zawrót głowy. Złote Wybrzeże nie było najlepszą lokalizacją z tych, o jakich myślałem, i powszechnie znane było jako 'nagrobek białych', lecz propozycja była tak kusząca, że bez wahania ją zaakceptowałem.

Otrzymałem bilet pierwszej klasy na statku SS Accra, zmierzającym do Takoradi na Złotym Wybrzeżu na 27 kwietnia 1950, co oznaczało 3 tygodnie na przygotowania do wyjazdu. Nie pamiętam, kto służył mi radą co do ekwipunku, jaki mógł mi być potrzebny, ale

udało mi się dostać większość w sklepie Moss Bros., który poza wypożyczeniem strojów wieczorowych zaopatrywał również osoby wyjeżdżające w tropiki. Zakupiłem dwie duże, metalowe walizy w czarnym kolorze z moim nazwiskiem wymalowanym na biało, składane łóżko polowe, składany parawan prysznicowy, dwie moskitiery, buty przeciwko moskitom, chroniące nogi w nocy, kilka garnków, patelni i glinianych naczyń, strzelbę Jeffrey kaliber .404 i .22 oraz jednolufową dubeltówkę wraz z odpowiednią amunicją. Nie kupowałem żadnych ubrań prócz jednej pary wyjściowych spodni i bardzo lekkiego garnituru, który mógł być potrzebny na specjalne okazje. Oczywiście wszystkie części garderoby potrzebne do pracy w buszu były tanie i łatwo dostępne po przybyciu u miejscowego krawca. 25. kwietnia wsiadłem do pociągu do Liverpool, spędziłem noc w hotelu i rano załadowałem się na 'Accre' przycumowaną w przystani Elder Dempster Lines.

### **(b) doświadczenia afrykańskie**

Statek był bardzo ładny, a moja kajuta znajdowała się zaraz poniżej głównego pokładu i dzieliłem ją z majorem Mayhew. Jego łóżko było równoległe do mojego, ale oddzielone sporą przestrzenią. Każdy z nas miał do dyspozycji mały stolik nocny jak i własną szafkę. Miałem ze sobą jedynie małą walizkę, gdyż oddałem bagaż główny do ładowni. Nigdy przedtem nie byłem na liniowcu i jego luksus wprawił mnie w zadziwienie. Jadalnia i pokoje do dyspozycji pasażerów, basen pływacki i fotele pokładowe ustawione wzdłuż jego części – wszystko miało uczynić podróż na tyle komfortową, na ile możliwe. W czasie dnia główny steward organizował różne gry takie jak bingo lub wyścigi konne, nurkowanie za monetami w basenie, lub walka na naoliwionym słupie biegnącym poziomo nad basenem, na którym dwóch mężczyzn siedzących okrakiem naprzeciw siebie próbowało strącić przeciwnika do basenu waląc go poduszką. Jeden raz podczas każdego rejsu organizowano wyścig z przeszkodami, będący źródłem wielkiej radości dla młodszych i silniejszych pasażerów. Co wieczór każdy mógł kupić za kilka szylingów bilet uprawniający do zgadywania, ile mil przepłynął statek podczas dnia; osoba, której oszacowanie było najbliższe dystansowi podawanemu przez kapitana wygrywała pulę. Większość pasażerów była cywilnymi pracownikami powracającymi po przerwie, lub tak jak ja wyjeżdżającymi po raz pierwszy. Były tylko dwie kobiety bez męskiego towarzystwa, jedna imieniem Eileen – raczej potężna pielęgniarka pracująca na placówce w szpitalu w Accra, oraz Hase Cameron, jadąca by dołączyć do swego męża Petera, z którym pobrała się w Anglii dwa miesiące wcześniej. Hase było zawołaniem, którego używał zawsze jej ojciec, austriacki doktor. Nie dość, że bardzo atrakcyjna, była jeszcze niezwykle inteligentna i nawiązaliśmy przyjaźń, która trwała do jej śmierci w 1998.

Statek zatrzymał się po raz pierwszy w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich, gdzie cumował przez 24 godziny, i można było zejść na brzeg by zrobić zakupy i poznać okolicę. Ceny w Las Palmas były niewiarygodnie niskie i wielu pasażerów kupiło miejscowe wódki i wina za cenę bliską zeru. Zaprosiłem Hase do klubu nocnego, gdzie wszyscy byli ubrani wieczorowo, więc w pierwszym odruchu chcieliśmy się wycofać, ale zostaliśmy zapewnieni przez kierownika sali, że noszenie zwykłych ubrań niczemu nie przeszkadza. Zjedliśmy świetny obiad z winem i całkowity rachunek wyniósł nieco ponad 10 szylingów.

Statek odbił rankiem i następnym postojem było Freetown w Sierra Leone. Nie było tam porządnego portu, więc zakotwiczyliśmy w pewnej odległości od lądu późnym wieczorem i nigdy nie zapomnę dziwnego zapachu przyniesionego przez wiatr z wybrzeża,

jakkolwiek trudno byłoby go opisać. Później wyczytałem gdzieś, że jest to właśnie zapach Afryki.

Rankiem następnego dnia kilku pasażerów popłynęło do miasteczka łodzią motorową a kilku wróciło, gdy tymczasem wokół naszego statku pojawiło się sporo miejscowych łódek wypełnionych młodzieńcami, co oznaczało początek pokazu. Pasażerowie stojący na pokładzie rzucali pensowe monety, które w tamtych czasach były dużymi, miedzianymi monetami, a chłopcy z łódek nurkowali i chwyтали je, zanim pogrążyły się w otchłani. Woda była bardzo przejrzysta, co umożliwiało oglądanie z pokładu całego widowiska.

Następny przystanek był w Takoradi, które posiadało odpowiednie molo, i które spełniało funkcję głównego portu Złotego Wybrzeża. Wielu pasażerów włączając mnie opuściło statek, i po bardzo wnikliwej kontroli celnej i formalnościach imigracyjnych udaliśmy się do samochodów, przysłanych po nas z Accra. Urzędnik z głównego biura Ministerstwa Rolnictwa, nazwiskiem Joe Davies, przyjechał swoim samochodem na nasze spotkanie, i podczas przenoszenia naszego bagażu z ładowni statku na ciężarówkę należącą do departamentu, zjedliśmy lunch w portowej restauracji, gdzie byliśmy obsługiwaliśmy przez miejscowych kelnerów w wykrochmalonych, białych uniformach. Pierwszym wrażeniem, jakie odniosłem na łodzi, na który właśnie przybyłem było niezwykle, duszące gorąco, którego, jak mi się zdawało, nie jestem w stanie znieść, oraz niezwykle wolne tempo poruszania się miejscowych. Joe zawiózł mnie 120 niezwytych mil polną drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża, mijając historyczne miasto Cape Coast, aż do głównego biura w Accra, gdzie spotkałem dyrektora, jego zastępcę i kilku innych pracujących tam urzędników. Dyrektor powiedział mi, że na tę chwilę nie zdecydował jeszcze, dokąd mnie skierować, i tymczasem zostanę zakwaterowany w budynku lotniska, gdzie zawiózł mnie Joe. Budynki te były przeznaczone dla podróżujących Europejczyków, i w zależności od lokacji, bardzo się różniły pod względem wyposażenia. Ten, w którym zamieszkałem miał niezły standard, i oczywiście był przeznaczony dla pasażerów podróżujących samolotami. Posiadał kilka pokoi wzdłuż długiego ganku, każdy z osobnym wejściem i wyposażony w dwa łóżka z pościelą, prysznic i kuchenkę. Można to porównać z zakwaterowaniem w motelu North American. Zostałem w tym budynku przez kilka dni, aż wezwano mnie do głównego biura i przedstawiono Douglasowi Billesowi, którego wszyscy nazywali Bill, inspektorowi rolniczemu, zarządzającemu Eksperymentalną Stacją Rolniczą w Pokoase, oddaloną tylko o 25 km. Powiedziano mi, że zostaję skierowany do Pokoase tymczasowo by pracować z Billem, który zapozna mnie z typowymi zajęciami wykonywanymi w stacji, i który teraz zawiezie mnie na miejsce.

Po przybyciu zakwaterowano mnie w bardzo wygodnym i dobrze wyposażonym domu gościnnym, który był stosunkowo blisko bugalowu zajmowanego przez Billa, który w międzyczasie znalazł dla mnie kucharza. Kucharzem tym był młodzieniec o imieniu Mensah i tymczasowo tzn. do mojego wyjazdu na docelową placówkę miał pracować również jako steward. Miał 23 lata i poprzednio był zatrudniony przez dwóch lub trzech Europejczyków, kiedy to zdołał awansować z pozycji chłopca na posyłki na stewarta, a ostatecznie na kucharza. Zgodziłem się płacić mu ogólnie przyjęte 5 funtów miesięcznie, i dodatkowo zapewnić szyty na miarę biały uniform. W Accra było wielu krawców i kiedy zamawiałem jego strój, zleciłem też wykonanie szorty i koszulę w kolorze khaki z lekkiej tkaniny odpowiedniej do tropików, którą zakupiłem w Towarzystwie Zjednoczonego Handlu, w jednym z ich dwóch dużych sklepów w Accra. Na stanowisku szefa państwa stał gubernator, sir Charles Arden-Clark, który reprezentował króla a później królową, i rezydował na zamku Christianborg.

Wiele lat później, długo po tym, gdy obaj przeszliśmy na emeryturę, spotkaliśmy się w Aurorze i zjedliśmy razem obiad serwowany przez jego kuzynkę, Peggy Garstang. Bill, mąż Peggy, był nauczycielem w koledżu św. Andrzeja i byliśmy bliskimi znajomymi. W tamtym czasie w kolonii było około 3000 Europejczyków, większość z nich pracowała jako urzędnicy cywilni, i wkrótce przekonałem się, że wygnańcy stoją na przegranej pozycji w kraju, gdzie prawo stanowiło, że nie mogą posiadać żadnej ziemi, i jeżeli przybywają w innym celu niż podjęcie pracy w służbie cywilnej, mają złożyć depozyt w wysokości 5000 funtów jako gwarancja, co wtedy było furą pieniędzy. Większość handlowców w kraju było Europejczykami, Syryjczykami lub Hindusami. Kraj był podzielony na trzy jednostki administracyjne, które odpowiadały z grubsza różnym strefom klimatycznym. Każdy okręg był podzielony na dystrykty i administrowany przez kadrę polityczną. Na samym szczycie administracji stał komisarz w Accra a każdym z trzech okręgów zarządzał zastępca komisarza z biur w stolicach regionów. Z kolei każdy dystrykt był administrowany przez komisarza dystryktu. Ministerstwo Rolnictwa posiadało podobną hierarchię z dyrektorem rolnictwa w Accra, zastępcami dyrektora w każdym z trzech okręgów w Accra, Kumasi i Tamale i urzędnikami rolniczymi w stacjach eksperymentalnych w każdym z dystryktów. Wąski nadbrzeżny pas, zwany „Kolonią”, miał dwie pory deszczowe i dość gęstą populację żywiącą się głównie rybami co w dużym stopniu miało odwierciedlenie w należytą diecie zawierającej odpowiednią ilość białka. Pozostałe dwa okręgi miały jedną porę deszczową, rozpoczynając się kiedy promienie słoneczne przesuwające się ze zwrotnika Raka i równika osiągały pion. W kolonii będącej blisko równika były dwie pory deszczowe, podczas gdy w pozostałych dwóch bliższych zwrotnikowi Raka dwie pory roku łączyły się w jedną trwającą przez około 4 miesiące od maja do października. Ilość opadów różniła się w zależności od lokalizacji. Przeciętnie wynosiła 25 cm rocznie na terytoriach północnych ale osiągała ponad 460 cm w niektórych rejonach lasów tropikalnych. [Dla porównania w Polsce średnia roczna to 50-70 cm – przyp. L. W.]

Środkowy, stosunkowo szeroki pas ‘Ashanti’ ze stolicą w Kumasi, pokryty był lasem tropikalnym, i poza ptakami był prawie całkowicie pozbawiony fauny w związku z endemicznym pasożytem Trypanomiasis roznoszonym przez dużą populację much Tse-Tse. Ludność odżywiała się prawie wyłącznie skrobią i mieszkańcy byli zauważalnie mniejsi od współrodaków z innych okręgów. Na koniec największy okręg, wysunięty na północ pas ziemi zwany ‘Terytorium Północnym’ ze stolicą w Tamale, miał najmniejszy poziom opadów w kraju o średniej 25 cm rocznie. Pokryty był lasem i sawanną z dominującą trawą, niskimi zaroślami i z rzadka wysokimi drzewami. Muchy Tse-Tse były tu znacznie mniej liczne i na wszystkich okolicznych farmach hodowano bydło. Przez to dieta była bogatsza w białko, co, tak jak w ‘Kolonii’, skutkowało dostrzegalną różnicą wielkości miejscowych.

Najważniejszym zajęciem w Pokoase było rozmnażanie świń, które Ministerstwo starało się wprowadzić do hodowli. Stacja uprawiała również różnego typu uprawy służące jako karma dla świń, ale była to działalność dodatkowa. Świnie były trzymane w budynkach zabezpieczających je przez moskitami i muchami Tse-Tse, ale pomimo tego ich śmiertelność była bardzo wysoka. Na stacji pracował duński chirurg weterynaryjny, którego zadaniem było obserwowanie trzody, doszedł jedynie do wniosku, że zdychanie jest wywołane zapaleniem nerek, ale tak naprawdę był w kropce co do faktycznego powodu. Bill zlecił mi wykonać badania na pewien temat, co zajęło mi trzy miesiące pracy w stacji. Stwierdziłem kilka interesujących rzeczy podczas tego okresu, ale zakończył się on nagle zanim udało mi się osiągnąć poprawną konkluzję. Zostało stwierdzone, skoro nie stwierdzono trypanosomii we

świńskiej krwi, że nie zawierała również Trypanomiasis (powodujących śpiączkę). Spędziłem długie godziny ślęcząc nad mikroskopem sprawdzając próbki krwi aż pewnego dnia sprawdziłem próbkę z za ucha świni niezawierającą krwi lecz tylko plazmę. Pomimo to sprawdziłem ją pod mikroskopem i znalazłem liczne Trypanosomie co wskazywało na to, że zabezpieczenia przeciw muchom nie zdawały egzaminu i kilku z nich udało się przedostać do chlewów. Było to interesujące ale nie rozwiązywało kwestii zapalenia nerek, które nie było objawem śpiączki. Podejrzywałem, że coś złego musi być ziarnem, którym karmiono świnię, a co atakuje ich nerki. Nie pamiętam już dziś, jakie były składniki świńskiej diety, ale jako że składała się z czterech różnych nasion strączkowych, odizolowałem 4 pary świeżo odstawionych od piersi prosiaków w czterech chlewach i zaplanowałem dietę wykluczającą jeden składnik, inny na każdy chlew. Kiedy po kilku tygodniach jeden prosiak zdechł, wykonałem sekcję jego zwłok i trzech innych z pozostałych chlewów. Po drugiej autopsji można było wyciągnąć klarowne wnioski. Tylko prosięta z grochem w karmie miały zaatakowane nerki, podczas gdy pozostałe, które nie jadły tego składnika, miały normalne, zdrowe nerki. Nie miałem niestety szansy, by doprowadzić eksperyment do końca, bo nagle otrzymałem polecenie od dyrektora aby kupić samochód i w przeciągu tygodnia przygotować się do wyjazdu do Bawku w Terytorium Północnym. Po drodze miałem się zatrzymać we dwóch stacjach zlokalizowanych w strefie lasu tropikalnego bym mógł się zapoznać z różnymi typami upraw zakładanych w takich warunkach. Pierwszą były Asuansi, w północnej części kolonii, i Kwadaso w Ashanti. Jako że nigdy nie prowadziłem, i nic nie wiedziałem na temat samochodów, musiałem całkowicie polegać na ekspertyzie Billa, który zakupił auto i przyjechał nim na stację. Był to szary pick-up Commer z drewnianym dachem i jego składanymi metalowymi wspornikami, między którymi można było umocować rolety opuszczane podczas deszczu. Skrzynia biegów była ręczna, a lewarek chodził bardzo opornie – wysprzęglanie stanowiło nie lada trudność, którą to czynność opanowywałem z wielką trudnością. Spędziłem następne 4 dni jeżdżąc po okolicznych polach, ćwicząc przed egzaminem mającym się odbyć za 5 dni w Ministerstwie Robót Publicznych. Kiedy egzaminator, siedzący obok mnie, usłyszał chrupot skrzyni przynajmniej 3 razy zanim wyjechaliśmy za bramę, stał się bardzo nerwowy i ledwie wjechaliśmy na ulicę, poprosił mnie bym zawrócił i poszedł z nim do biura, gdzie dał mi prawo jazdy. Zakupiłem nieco jedzenia, napełniłem bak i pojechałem z powrotem do stacji, gdzie następnego ranka zebrałem swój ciężki bagaż i wyjechałem w kierunku Asuansi.

W tamtych czasach drogi Złotego Wybrzeża były okropne. Pokryte małymi wybojami, które przy jeździe poniżej prędkości 80 km/h niezmiernie wstrząsały samochodem i czyniły prowadzenie bardzo wyczerpującym. Kiedy było sucho, za samochodami unosiła się chmura drobnego pyłu ograniczająca widoczność i uniemożliwiająca wyprzedzanie. Na całe szczęście ruch był niewielki a drogi mokre, podróż mijała więc sprawnie. Byłem bardzo dumny ze swej ciężarówki i prowadziło mi się ją wesoło. Asuansi znajdowało się 175 mil (280 km) na północny zachód od Accra, i dotarłem tam po południu. Główny inspektor rolniczy stacji nazwiskiem Derek Westwood przyjął mnie bardzo uprzejmie i pomógł zakwaterować w domu gościnnym nieopodal jego domku. Po otwartych polach Pokoase czułem się przytłoczony przez otaczający mnie las, podchodzący nieomal pod same drzwi. Nie miałem ściśle określonego zajęcia na stacji i spędzałem czas oglądając eksperymentalne poletka z różnymi roślinami i czytając opracowane na ich temat raporty. Przypomina mi się wydarzenie, kiedy Derek i jego żona zabrali mnie na obiad z szefem jednej firmy, a w drodze powrotnej Derek, który prowadził pick-upa, a wypił trochę za dużo, stracił panowanie nad kierownicą i samochód przewrócił się lądując na boku. Na szczęście nikomu nic się nie stało,

ale wydostanie się z szoferki było dosyć trudne. Ponieważ byliśmy niedaleko od stacji, Westwoodowie zdecydowali się wrócić pieszo. Wszyscy nosiliśmy stroje wieczorowe, a żona Dereka długą suknię, którą podkasała i zawiązała wokół bioder. Szliśmy w kompletnych ciemnościach używając latarki, którą zabraliśmy z samochodu. Będąc jedyną trzeźwą osobą zacząłem się martwić, ponieważ nie miałem pojęcia gdzie jesteśmy, a Westwoodowie niewiele o to dbali. Jednakże po godzinie udało nam się dojść do stacji, rano wraz z kilkoma pracownikami postawiliśmy ciężarówkę na kołach, a ja uruchomiłem ją i ruszyłem w kierunku stacji. Nie ujechałem daleko, gdy silnik zgasł i nie chciał ponownie zapalić. Nie zorientowałem się, że kiedy samochód leżał na boku, z silnika wyciekł cały olej i podczas jazdy zatart się. Czułem się paskudnie, ale Derek był bardzo uprzejmy. Ciężarówkę zreperowano w kilka dni a my staliśmy się tak dobrymi znajomymi, że podczas mojego pierwszego urlopu, który zbiegł się z jego urlopem, spędziłem kilka dni z nim i jego rodzicami na farmie w Pinner.

Po tygodniu w Asuansi wyruszyłem do Kwadaso, które było położone tuż obok Kumasi, stolicy Ashanti. Głównym inspektorem był Mickey Blane; jego domek znajdował się bardzo blisko domku Isaaca Sibsona, zastępcy dyrektora ds. rolnictwa na Ashanti, oraz w pobliżu domu gościnnego, w którym mieszkałem. Były tam również mieszkania zastępcy ministra leśnictwa oraz bungalow dla innych urzędników tego ministerstwa. Ministerstwa Leśnictwa i Rolnictwa zawsze blisko ze sobą współpracowały. Z pierwszej wizyty w Kumasi najbardziej pozostało mi w pamięci to, że podczas trzeciego dnia mojej wizyty jechałem na spotkanie zastępcy przewodniczącego komisji, i wjechałem w bok Chevroleta, bezcennej własności delegata, który jechał na to samo spotkanie, ale inną drogą, pod ostrym kątem. Skrzyżowanie, na którym doszło do kolizji nie posiadało żadnych znaków, a ja byłem przekonany, że jechałem główną drogą, i dlatego miałem pierwszeństwo przed pojazdami nadjeżdżającymi boczną drogą z mojej lewej, podczas gdy w rzeczywistości okazało się być odwrotnie. Skutki kolizji nie były poważne, ale pomimo spóźnionej próby hamowania, rzuciło mnie na prawą stronę samochodu. Przedni zderzak nie został uszkodzony, ale drzwi zostały poważnie wgniecione. Czułem się okropnie, lecz była to jedna z wielu lekcji potrzebnych, bym nauczył się prowadzić. Kolejnym etapem podróży było Tamale, stolica Terytorium Północnego, w której mieszkało tylko około 200 Europejczyków. Moje wspomnienia z pierwszej tam wizyty są niezbyt wyraźne, a właściwie to pamiętam tylko, że było to najbliższe miejsce od Bawku – 400 mil (650 km) – gdzie był jedyny warsztat, w którym można było kupić części i dokonać napraw mojego samochodu. Stąd również zabierałem co miesiąc potrzebne mi zapasy żywności, w tym piwo z browarni w Accra oraz jedną butelkę whisky, wtedy racjonowanej. Była przywożona rządową ciężarówką, realizując zamówienia wysyłane pocztą. W Tamale był jedyny klub towarzyski, nazwany Klubem Gymkhana, którego członkostwo było otwarte dla nie-Europejczyków. Dwa inne kluby, które odwiedziłem w Accra i Kumasi przyjmowały wyłącznie Europejczyków. Jakiś czas później poszedłem, elegancko ubrany, na przyjęcie noworoczne, gdzie spotkałem jedną z członkiń, czarującą czarnoskórą pielęgniarzkę przebraną jako Gollywog\*. Wyjaśniła mi, że w tym przebraniu wygląda stosunkowo autentycznie. Była jedną z dwóch czarnych osób, spotkanych przeze mnie podczas pobytu na Złotym Wybrzeżu, które nie były wojowniczo nastawione, i co ciekawe, obydwójce zostali wychowani przez białych. Druga osoba był pan Gardiner, pracujący jako minister w Ministerstwie Oświaty.

Podczas mojej drugiej podróży po kraju spotkałem w Tamale Polaka z dyplomem Cambridge otrzymanym wtedy, co i ja, i którego opowieści obrazowały trudności, jakie przechodzili obcokrajowcy starający się znaleźć zatrudnienie w Anglii. Nazywał się

Piotrowski, jego rodzice wyemigrowali do Francji po I Wojnie Światowej, tam urodził się i ukończył szkoły. Kiedy wybuchła II Wojna Światowa i Francja została najechana, znalazł się w polskich siłach zbrojnych w Anglii, a po 6. czerwca 1944 walczył na kontynencie aż do kapitulacji Niemiec. Po demobilizacji w Anglii dostał się na Cambridge, gdzie studiował francuski i hiszpański (języki, które znał po matce). Po ukończeniu studiów, które były dla niego trudne z powodu słabej znajomości angielskiego, ubiegał się o posadę nauczyciela i odbył rozmowy kwalifikacyjne w kilku szkołach, ale wszystkie odmówiły mu przyjęcia bo, jak mu wyjaśniono, uczniowie nie rozumieliby jego francuskiego akcentu. Po roku, który z trudnością starał się przetrwać jako prywatny nauczyciel, złożył podanie do Urzędu Kolonialnego, i po upływie kolejnego roku otrzymał posadę na placówce na Złotym Wybrzeżu i trafił do szkoły w Tamale. Kiedy dałem wyraz zdziwieniu, że w szkołach Złotego Wybrzeża uczą francuskiego, odpowiedział „Ale ja uczę angielskiego”.

Innym Polakiem, którego sława jako naukowca była przed wojną dobrze znana w Europie, był dr Judenko. Jego specjalizacja była bardzo wąska, a mianowicie entomologia (owadoznawstwo) w zakresie mszyc, i jedyną pracą jaką udało mu się znaleźć po trzech latach, było zmiatanie podłóg w budynku Wydziału Entomologii w Cambridge. Końcowo dostał się na Złote Wybrzeże, gdzie drzewa kakaowe, stanowiące główny produkt eksportowy, usychały z powodu pasożyta mączniaka, na którego nie znano lekarstwa. W ciągu krótkiego czasu po przybyciu dr Judenko opracował środek rozwiązujący problem, i w ten sposób zabezpieczył ciągłość strumienia cennej zagranicznej waluty, wpływającej w wyniku eksportowania kakao.

Droga z Tamale do Bawku była przedzielona rzeką Volta, którą pokonywało się promem. Ponieważ była to jedyna droga, można było kontrolować liczbę pojazdów i ilość ładunku przewożonego ciężarówkami w każdym kierunku, by w przybliżeniu określić ilość żywności eksportowanej i importowanej z okręgu Kusasi, które to zadanie było powierzone inspektorowi rolniczemu rezydującemu w stacji eksperymentalnej w Manga, oddalonej o 4 mile (6 km) od Bawku. Na Złotym Wybrzeżu każdy nowoprzybyły urzędnik, zatrudniony przez Urząd Kolonialny, miał odbyć 18-miesięczną służbę, która uprawniała do tygodnia urlopu za każdy miesiąc spędzony w kolonii. Dodatkowo otrzymywali 12 dni na podróż w każdą stronę, jeśli podróżowali drogą morską, lub 7 w razie podróżowania samolotem. Po przekroczeniu trzydziestki czas pobytu w kolonii był zmniejszony do 15 miesięcy, ale wolne na podróż zostawało bez zmian. Ponieważ rozpocząłem służbę w wieku 33 lat, okresy pobytu w Afryce trwały 15 miesięcy od samego początku. Po trzech takich okresach, które pozwolono mi spędzić w Manga z naszych danych wynikało, że import żywności do Kusasi stopniowo malał, i po dwóch latach został zrównoważony przez stale wzrastający eksport. Było ogólnie przyjęte, że inspektor rolniczy po powrocie z urlopu był umieszczany w innej stacji, a więc potraktowano mnie wyjątkowo, umieszczając w Manga kolejne 3 razy. Bez wątplenia był to rezultat osiągnięć, jakie udało mi się uzyskać poprzez zachęcanie rolników do zastosowania prostych metod służących zwiększeniu wydajności na całym obszarze 3000 km<sup>2</sup> Kusasi.

Domek w Manga był zaprojektowany i zbudowany przez jednego z moich poprzedników. Był zwrócony na południe, a wszystkie jego ściany, włączając fasadę, były wykonane z laterytu, czerwonego, łatwego w obróbce kamienia, łatwo dostępnego w okolicy, związanego zaprawą cementową. Podłogi domku oraz próg drzwi wejściowych były na poziomie wzniesionym o 6 stopni ponad grunt i były wykonane z płyt betonowych wspartych na ubitej ziemi, oraz kamiennych schodów prowadzących do wejścia. Ściany zewnętrzne oraz działowe miały grubość 60 cm i były bielone od środka. W środku były 3



pokoje, jeden służący za bawialnię, inny za jadalnię, z dwoma wnękami z tyłu, pełniących funkcję spiżarni i pomieszczenia na filtr wody. Filtr był dużym naczyniem ceramicznym, glazurowanym na zewnątrz, i składał się z dwóch komór, z których górna miała dwie nie glazurowane, wymienne ceramiczne pręty, przytwierdzone do swego spodu. Obydwa pręty miały wywiercone w środku kanały, kończące się na dole sączkami, cała zaś górna komora ściśle przylegała do dolnej, która miała zamontowany mały kurek na zewnątrz tuż przy dnie. Do obowiązków stewarda należało zagotowanie w kuchni wiadra wody i wlanie jej do górnej części filtra. Czysta, zdatna do picia woda była później rozlewana do butelek przez kurek w dolnej części. Sypialnia była podzielona w tylnej części na łazienkę i ubikację. Ponad łazienką znajdował się duży zbiornik, do którego wodę pompowało się ręczną pompą z 40-galonowego (ok. 150 litrów) stalowego zbiornika przywożonego codziennie na wózku ciągniętym przez parę wołów. Wodę czerpano w studni z dolnej części doliny około milę na południe. Studnia była płytka, ze ścianami wyłożonymi betonowymi płytami. Wodę wyciągano ręcznie wiadrem na linie, ale ponieważ studnia miała ograniczoną pojemność, czasami wyczerpywała się podczas pory suchej. Wkrótce po przybyciu zamówiłem metalowy wiatrak z pompą wodną, który został przysłany w dużej skrzyni, i świetnie bawiłem się przy jego składaniu i montażu na betonowej podstawie. W tym samym czasie pożyczyłem z Ministerstwa Robót Publicznych zestaw stalowych elementów potrzebnych do zbudowania okrągłego, wysokiego na ponad 2 metry betonowego zbiornika o pojemności 10000 galonów (38000 litrów). Kiedy prace nad nim zostały ukończone, woda nigdy mi się nie skończyła, i używałem zbiornika do podlewania reprezentacyjnego ogródka warzywnego, który założyłem nieco później. Rosamond i ja używaliśmy też zbiornika do pływania, które nie było możliwe nigdzie indziej z powodu powszechnej obecności bakterii wywołującej zatrucia pokarmowe i pasożytów. Wszystkie okna domu były zastonięte przez wiszące żaluzje co prawda niewyposażone w blokadę, mogły być jednak częściowo otwarte poprzez podparcie ich kawałkiem drewna, gdy chciało się uzyskać lepszą wentylację.

Dwuskrzydłowe drzwi frontowe i tylne miały zamontowane żaluzje umożliwiające przepływ powietrza. Dom miał dach z blachy falistej pokryty strzechą, która chroniła przed bezpośrednim działaniem promieni słonecznych jak również hałasem spowodowanym przez deszcz podczas pory deszczowej. Nie było sufitu, więc od będąc w środku widziało się krokwie, użytkowane przez dużą kolonię nietoperzy odpoczywających za dnia a wylatujących na noc. Ich obecność zawabiła drapieżniki i później, kiedy już byłem żonaty, moja żona Rosamond zauważyła węża, który pożarł nietoperza, i spadł na podłogę blisko krzesła, na którym siedziała. Wystraszona, pozostała bez ruchu i zawołała jednego ze służących, a gdy ten nadszedł, wskazała na węża. Gdy ten go zobaczył wybiegł, ale wrócił kilka chwil później z odsieczą w postaci dwóch kolegów uzbrojonych w kije. Po kilku sekundach nieszczęsny wąż był martwy. Służący stwierdzili, że wąż był bardzo groźny, ale ponieważ nigdy takiego nie widziałem, nie mogłem tego potwierdzić. Z przodu domu oraz po prawej stronie zbiornika rosła olbrzymia melia indyjska (*Melia Indica*), który to gatunek był popularny wśród miejscowych, którzy używali młodych gałązek do żucia i czyszczenia zębów. Ten powszechny, i pozornie naturalny zwyczaj miał swoje uzasadnienie, ponieważ drzewo to zawiera sporą ilość chininy, która pomaga wstrzymać rozprzestrzenianie się malarii. Europejczycy zwykli zażywać codziennie tabletki z chininą w ramach profilaktyki, ale później zastąpili je tabletkami Palludrine lub Mepocrine, podczas gdy chinina została ostatecznym lekarstwem w odosobnionych przypadkach „czarnej wody”, szczególnie zjadliwej formy malarii. Po

drugiej stronie domu i naprzeciw okien znajdowało się kilka ozdobnych krzewów kwiatowych, na które składały się bugenwilla gładka, plumeria, amarylis nadobny etc. Po wschodniej stronie domu, w pewnej odległości, rósł bardzo duży fikus, znany tubylcom jako drzewo Jou-Jou, gatunek mocno rozpleniony w okolicy. Miejscowy zwyczaj wzbraniał ścinania zagajników lub nawet pojedynczych drzew tego gatunku, a nawet martwe gałęzie spadłe na ziemię nie były używane na opał lecz pozostawione tam, gdzie leżały. Zwyczaj ten dowodził wielkiej mądrości, ponieważ wśród tych drzew znajdowały się rzadkie nasiona innych gatunków, które przy odmiennym traktowaniu mogłyby zniknąć na zawsze. Pomiędzy domem i drzewem był domek dla gości, w którym mogli nocować. Był to prosty budynek o średnicy około 3 metrów, zbudowany tak samo jak domostwa tubylców. Ściany wykonane zostały z gliny, dach tworzyła strzecha, a jedyną różnicę między nim a domami w wiosce stanowiła biała farba pokrywająca ściany, oraz drzwi i okna z żaluzjami. Na północ od domu znajdował się prostokątny, podłużny budynek zbudowany w tym samym czasie, ustawiony krótszą ścianą do głównego budynku. Ta strona była otwarta i służyła za kuchnię, podczas gdy dużo większa część po drugiej stronie mieściła kwatery służących. Jeszcze dalej znajdowała się otoczona drutem zagroda dla kurcząt. Za domem i kuchnią była rampa przeznaczona do serwisowania pojazdów. Była zbudowana, tak jak dom, z kamieni laterytu, i składała się ze ścian długich na 6 metrów, wysokich na 140 cm, o szerokości 60 cm, umieszczonych w odległości 120 cm, zakończonych 45° podjazdem. Wjeżdżanie na górę a później zjeżdżanie było bardzo trudną operacją, ponieważ szerokość ścian nie pozwalała nawet na marginalny błąd. Nie cierpiałem używać tego urządzenia, ale miałem szczęście i wypadek nigdy mi się nie przytrafił. Ponieważ nie było elektryczności, za oświetlenie służyły lampki oliwne lub ciśnieniowe parafinowe Tilley'a. Ze względu na wytwarzane przez nie ciepło w klimacie już gorącym były używane tylko wtedy, gdy były absolutnie niezbędne. W ciągu całego roku długość dnia i nocy wynosiła równo 12 godzin, słońce zaś zachodziło gwałtownie o 6 wieczorem, a wschodziło dokładnie o 6 rano. Stało się zwyczajem pić drinka na dachu zbiornika, siedząc w fotelach, po uprzednim włożeniu spodni zachodzących na buty, koszuli z długimi rękawami oraz krawata, co zmniejszało obszar skóry narażonej na ukąszenia do minimum. Lampka Tilley'a była zazwyczaj zapalona i zawieszona ponad zbiornikiem, z wielkim emaliowanym i wypełnionym wodą pojemnikiem pod nią, do którego wpadały roje latających mrówek (jedna z form termitów) zwabionych światłem. Woda zwilżała ich skrzydła i uniemożliwiała latanie. Stanowiły one przysmak służących, którzy smażyli je lub piekli przed zjedzeniem. Każdy pokój bungalowu wyposażony był w komplet podstawowych mebli wykonanych przez lokalnego stolarza, z dostępnego na miejscu drewna mahoniowego, składającego się z 4 regulowanych foteli, wyposażonych w poduszki z wypełnieniem z włókien kapiokowych, oraz 4 stoliki do bawialni, duży stół do jadalni z 10 krzesłami z prostymi oparciami, oraz wielką szafę z drążkiem i licznymi półkami, jak również podwójne łóżko zaopatrzone w wypełniony włóknem drzewa kapiokowego materac i ramę służącą rozpięciu moskitiery ze wszystkich stron i z góry. Po rozścieleniu, steward mocował moskitierę do ramy, a po upewnieniu się, że żadnych owadów nie ma w środku, wsuwał siatkę pod materac ze wszystkich stron. By dostać się do łóżka należało unieść kawałek moskitiery, wśliznąć się do środka, i szybko zablokować siatkę materacem. Jeśli zdarzyło się, że moskit został uwięziony w środku, można to było wykryć dzięki wysokiemu tonowi, jaki generują jego skrzydła podczas latania. W takim przypadku należało włączyć światło i zabić go, zanim miałby okazję przekłucia skóry i wchłonięcia krwi. W jadalni uzupełnienie mebli stanowiła mała lodówka, stojąca w rogu, działająca dzięki stale świecącej się lampce parafinowej, stanowiącej część jej mechanizmu. Lodówka działała bardzo dobrze i nawet

umożliwiała robienie kostek lodu. Gdy przestawała działać, mogło pomóc obrócenie jej dnem do góry, co czasem wystarczało do usunięcia przeszkody blokującej cienką rurkę. Kiedy raz pokazałem kostki lodu lokalnym wodzom, przybyłym w odwiedzinę, którzy oczywiście nie mieli pojęcia czym jest lód, wszyscy powiedzieli, że parzy w ręce. Jeden z nich chciał zabrać kostkę do domu, by pokazać żonie.

Niecały kilometr na południe od bungalowu znajdowało się biuro nadzorcy George'a Chilalli oraz Koffe, urzędnik tam pracujący. Ich domy, podobnie jak domy innych stałych pracowników zostały zbudowane przez Ministerstwo niedaleko od biura i zabudowań farmy. Zazwyczaj przychodziłem do biura o 6 rano, wracałem do domu na śniadanie o 9, a pół godziny później udawałem się do biura, gdzie zostawałem do przerwy w porze lunchu w południe, i znów do biura do końca dnia pracy o 2.30.

Moja praca w biurze obejmowała zarządzanie eksperymentalnymi działkami projektu Petera Stevensa, naszego oddziałowego chemika, który został przyłączony do głównego biura w Accra i który miał za zadanie uzyskać statystycznie potwierdzoną skuteczność w zbiorze lokalnych plonów w zależności od stosowanych nawozów. Cała uprawa ziemi i indywidualne zabiegi dotyczące nawożenia, jak również rejestrowanie wyników, były przeprowadzane przez zespół stacji, a końcowa analiza statystyczna pozostawiona Stevensowi. Naszym największym problemem były kopce termitów wyrastające czasami w środku poletek, zagrażające wiarygodności danych statystycznych eksperymentu. Aby w trwały sposób pozbyć się wszystkich gniazd, czasem wysokich na prawie 2 metry i nawet większej średnicy u podstawy, trzeba było skruszyć górną część gniazda i znaleźć i zniszczyć królową, która w innym wypadku kontynuowałaby produkcję nowych pokoleń różnych form tych fascynujących insektów. Operacja taka była ryzykowna, ponieważ jeden z rodzajów owadów – żołnierze – był stosunkowo duży i wyposażony w olbrzymie szczęki służące do atakowania każdego intruza. Rodowici pracownicy, którzy chodzili boso, lub w najlepszym razie nosili sandały, byli bardzo podatni na te ataki, i aby zmniejszyć wściekłość termitów używaliśmy świec gammeksanowych (gamma-heksachlorocykloheksan,  $C_6H_6Cl_6$ , silny środek owadobójczy), które, zapalone i wrzucone do gniazda, wytwarzały toksyczny gaz oddziałujący na żołnierzy i wywołujący ich ospałość. Królowa, z małą głową i dużym ciałem, które w rzeczywistości było workiem grubszym od palca wskazującego i długim na 10-12 cm, wypełnionym tysiącami zapłodnionych jaj zdolnych dać początek wszystkim z różnych form termicznej rodziny, mieszkała w osobnej, kulistej glinianej komórce, znajdującej się w samym środku kopca około 25 cm nad powierzchnią gruntu. Pomimo użycia gazu nogi pracowników były pokryte krwią, ale, jeśli im się udało, byli nagradzani ciałem królowej, które uchodziło za wielki przysmak.

Innym bardzo istotnym obowiązkiem inspektora rolniczego była dodatkowa praca obejmująca cały okręg i wykonywana z pomocą 23 asystentów rolniczych, z których każdy przypisany był do konkretnej części okręgu. Byli oni absolwentami szkoły zawodowej, która w teorii czyniła ich piśmiennymi i zdolnymi do pisania raportów, ale w praktyce były one trudne do odcyfrowania, a jeszcze trudniejsze do zrozumienia.

W okręgu Kuasi mieszkało 7 różnych plemion, a każde z nich używało innego języka. Najważniejszym był Mamprusis, które pierwotnie podbiło całe terytorium, i którego członkowie zazwyczaj zajmowali pozycje wodzów poszczególnych wiosek. Były również Kusasi, Busanga, Bimoba i trzy inne plemiona, których nazw dziś nie pamiętam. Mężczyźni każdego z plemion mieli oznakowane twarze specyficznymi bliznami, uzyskanymi przez wykonanie odpowiednich nacięć niemowlętom i pomazanie ich krowim łajnem, co

wywoływało infekcję i czyniło blizny bardziej wyrazistymi gdy się w końcu zagoiły. Najwyraźniej identyfikacja taka wywodziła się z czasów ciągłych wojen, gdy plemiona najeżdżały na siebie wycinając męskich przeciwników i biorąc w jasyr kobiety. Dopiero po przyjeździe Europejczyków pokój został narzucony, a stało się to jedynie 30 lat temu. Mężczyźni nosili zazwyczaj przepaskę biodrową i czasami krótki fartuch, kobiety zaś wiązkę świeżych liści, jedną z przodu i drugą z tyłu, wiszące na opasującym biodra sznurku. W plemienu Fara-Fara nie nosiły z przodu nic, z tyłu natomiast mały ogonek. Ziemia w każdej wiosce należała do wodza, który sprawował pieczę nad jej przydziałem rolnikom. Każda z indywidualnych farm miała obszar około 9 akrów (3,5 ha), czyli tyle, ile rolnik był w stanie uprawiać używając uniwersalnego narzędzia, jakim była stalowa motyka na krótkim drewnianym trzonku. Po 7 lub 8 latach ziemia stawała się tak wyjąłowiona ze składników odżywczych, że zbiory spadały prawie do zera i było w zwyczaju zaprzestać uprawy, aby pozwolić ziemi powrócić do naturalnej vegetacji na okres przynajmniej 10 lat, po którym spodnia powierzchnia skał może zwietrzeć i odbudować zasób składników odżywczych. Kiedy rolnik był gotowy na przenosiny, musiał zwrócić się do Wodza, który wtedy przydzielał mu kawałek ziemi, która już wystarczająco długo leżała odłogiem. Oczywiście wymagało to pieniędzy lub podarunku, którego przyniesienie było wymagane podczas wizyty u Wodza. Pierwszą rzeczą, jaką rolnik miał do zrobienia po otrzymaniu nowego kawałka ziemi było wybudowanie zagrody, składającej się z kilku okrągłych budynków, każdy spełniający swoją funkcję. Tak zwane „pokoje” były okrągłe, kryte strzechą z drzwiami lub niskim otworem z przodu umożliwiającym wejście. Ściany wykonane były z gliny zmieszanej z krowim łajnem, używanym powszechnie materiałem budowlanym. Ilość pokoi zależała od liczebności rodziny, ale były one budowane w pewnej odległości od siebie po obwodzie kręgu, z drzwiami skierowanymi do jego środka. Wszystkie były połączone razem za pomocą wysokiego muru, co powodowało utworzenie zagrody z jednym tylko wejściem i przejściem między dwoma „pokojami”. Wewnątrz zagrody znajdowały się dodatkowe konstrukcje służące do przechowywania ziarna, otwarta kuchnia etc. Otwarta podłoga zagrody wykonana była z tej samej mieszaniny gliny z krowim łajnem, ubijanej kijami aż do uzyskania twardej powierzchni, którą łatwo było zamiatać prymitywną miotłą i która spełniała swą funkcję przez cały okres pory suchej, a musiała być odnowiona po corocznej, trwającej 4 miesiące, porze deszczowej.

W taki sam sposób zbudowałem kort tenisowy na południowy wschód od bungalowu. Aby to zrobić, poprosiłem Wodzów dwóch najbliższych wioszek o pomoc obiecując w zamian wystawić przyjęcie. Później wynająłem zespół bębniarzy i zamówiłem kilka dużych tykw ze sfermentowanym sorgo, który to napój miejscowi zwą „pito”, zawiera dość dużo alkoholu ale był stosunkowo tani i pasował na tę okazję. Wodzowie przyprowadzili ze sobą wiele kobiet w różnym wieku, które miały doświadczenie w wykonaniu podłóg i po kilku godzinach pracy przy akompaniamencie bębnów powstała idealna powierzchnia pod kort tenisowy. Następnie rozpoczęto taniec. Każda z kobiet, na zmianę, wchodziła na kort i rytmicznie tańczyła około minuty, po czym była zastępowana przez następną. Otrzymały trochę pito i impreza się zaczęła.

Zawsze bałem się momentu, kiedy pito zaczyna być serwowane, ponieważ aby okazać szacunek, nikt nie mógł odmówić Wodzowi picia gdy ten je proponował. Zgodnie z etykietą, kobieta usuwała palcami pianę, jaka formowała się na powierzchni piwa w tykwie, po czym napełniała czerpak wykonany z małej tykwy i podawał najważniejszemu Wodzowi. Ten, po upiciu łyka, podawał czerpak mężczyźnie siedzącemu po jego lewej stronie, który upijał nieco

i podawał dalej, i tak aż do opróżnienia czerpaka. Każdy miał nadzieję, że wszystkie paskudne bakterie i zarazki, zawsze obecne w tamtejszej wodzie, zostały zabite poprzez gotowanie poprzedzające proces fermentacji, ale później było wiele okazji by mogły znów pojawić się w pito zanim zostanie ono podane. Podczas mojego ostatniego urlopu, po pięciu latach na Złotym Wybrzeżu, spędziłem 3 miesiące w londyńskim Szpitalu Chorób Tropikalnych, gdzie wraz z innymi byłem poddany kuracji przeciwko dyzenterii (czerwonki) wywoływanej amebą, którą prawdopodobnie nabyłem pijąc pito.

Czasami grałem w tenisa z Georgem Chiallą, który przepadał za tą grą i był dość wymagającym partnerem, choć prezentował raczej styl niekonwencjonalny. Innymi graczami, którzy czasem przychodzili na rozgrywkę byli komisarze okręgowi i ich żony, no i oczywiście moja żona Rosamond, po ślubie podczas mojego pierwszego urlopu w Anglii. Rosamond była zdecydowanie najlepszym graczem, i choć bardzo się starałem, nigdy nie wygrałem z nią w singlu.

W czasie, kiedy przyjechałem do Manga nie było tam inspektora rolniczego, i okręgiem Kusasi chwilowo zajmowała się Sandy Leslie, inspektor rolniczy Bolgatangi, który to okręg, większy od mojego, był najbardziej zaludnionym regionem kraju, zamieszkałym przez plemię Fara-Fara, i w kiepskich latach, gdy deszcz opóźniał się lub było go niewystarczająco bo jedynie co 3 lata, panował powszechny głód. Ziemia uznawana była za żyzną, z podkładem ze skał granitowych, ale w związku z dużym zagęszczeniem populacji, nie było jej wystarczająco dużo by umożliwić zwyczajowy okres odpoczynku po okresie uprawy. Wiem z doświadczenia, że jeśli ktoś musi administrować dwoma okręgami (jak to mi się zdarzyło przez pewien czas, gdy Sandy Leslie pojechała na urlop), czasu wystarcza jedynie na wizytę drugiego okręgu raz na dwa lub trzy tygodnie, głównie po to, by dopilnować wypłat i sprawdzić księgowość. Stacja w Manga miała wiele szczęścia mając za nadzorcę George'a Chilallę, ponieważ moim zdaniem był on błyskotliwy i pełen inicjatywy i można było polegać na jego ocenie. Z powodów mi nieznanych zmienił imię z Kodjo kilka lat przed naszym spotkaniem, ale pomimo tego wszyscy miejscowi używali jego poprzedniego imienia i udawali że nie wiedzą, o kogo chodzi, gdy ich zapytać o niego używając nowego imienia. Ożenił się ze świetnie wyglądającą, posągowo piękną murzynką, która zarządzała gospodarstwem domowym, i z którą miał liczne potomstwo. Deklarował wiarę chrześcijańską, ale podejrzewam że robił to wyłącznie dlatego, że większość białych było chrześcijanami, i dlatego uważał się za bardziej cywilizowanego. Władał większością lokalnych języków oraz Hausa, który był językiem podróżników w Afryce Zachodniej, i znając go, zawsze można było znaleźć kogoś kto go również się nim posługuje. Kiedy jeździłem na „trek” (zwanym „safari” w innych częściach Afryki) zwykle towarzyszył mi i nie tylko że służył za tłumacza, ale jeszcze był w stanie wyjaśnić wszystkie lokalne zwyczaje, które były inne w każdej wiosce i w każdym plemienu. Jak już wspominałem wcześniej, lubił grać w tenisa i często był zapraszany do debla, ale był bardzo taktowny i utrzymywał przyjęty dystans między murzynami i białymi w tych bardzo kolonialnych czasach.

Po 1956, w którym Złote Wybrzeże stało się niepodległym krajem i przyjęło nazwę Ghana, korespondowałem z nim przez jakiś czas. Napisał, że awansował na stanowisko urzędnika rolniczego i został przeniesiony na południe, ale później straciliśmy kontakt i nie wiem, co się z nim stało.

Moją pierwszym i najważniejszym zajęciem po przybyciu do Manga było rozpoczęcie pracy w Dziale Planowania Zagospodarowania Bumbu. Mogłem uzyskać bardzo mało informacji na ten temat w Ministerstwie Rolnictwa, i jedynie zlokalizowałem tę okolicę na

mapie, gdzie był zaznaczona jako podłużny obszar, szeroki na 3 a długi na 15 kilometrów, położony ukośnie od Kusasi w kierunku północno-wschodnim. Nie otrzymałem żadnych dokładnych instrukcji ani nawet ogólnych dyrektyw względem planu i w jaki sposób ma być on wdrożony. Wkrótce po moim przybyciu zwiedziłem obszar i stwierdziłem, że granice lekko falistego terenu, typowego dla tych okolic, z farmami i zagrodami rozrzuconymi wokół, zostały oznaczone, ale nic nie wskazywało na jakiegokolwiek inne prace. Po przemyśleniu zdecydowałem, że pierwszą rzeczą, którą należy przeprowadzić, jest dokładny pomiar terenu i wykonanie dokładnej mapy.

Nigdy nie zajmowałem się geodezją, ale znalazłem w stacji potrzebny ekwipunek, zazwyczaj używany przy działkach eksperymentalnych, składający się z busoli pryzmatycznej, 3 łańcuchów Guntera (poprzednik taśmy mierniczej), kilka tyczek geodezyjnych, niwelator i łąkę niwelacyjną, raportówkę oraz kilka kartek papieru. Chilalla oddał do dyspozycji 5 pracowników którzy chodzili boso, ale nosili nogawki od kostek do kolan, aby zabezpieczyć się przed kolcami krzaków pokrywającymi większość nieuprawianego terenu, oraz dodatkowo Abdullę Alego, instruktora rolniczego odpowiedzialnego za okolicę, władającego i kusasi, i angielskim. Zdecydowałem, aby pracować w wąskich pasach po 40 metrów, co wymagało prostego ustawienia busoli pryzmatycznej i oznaczenia odległości 20 metrów (długość łańcucha Guntera) pod kątem prostym obu stronach. W ten sposób mogłem nanieść na mapę wszystko, co było na powierzchni ziemi, uwzględniając wzniesienia, działki przynależne do farm, ziemię leżącą odłogiem, jak również pojedyncze uprawy i zagrody. Dodatkowo zanotowałem liczbę mieszkańców każdej z zagród oraz żywy inwentarz, taki jak bydło, owce, kozy i drób. Obliczyłem, że mam do przejścia 150 kilometrów, a później stwierdziłem, że maksymalny dystans do przebycia jednego dnia wynosi niecałe 5 kilometrów. Ponieważ miałem dostarczyć kompleksowy raport w ciągu 3 miesięcy, zostawiłem rutynowe prowadzenie stacji Chilalli i przygotowałem się do pracy przy geodezji natychmiast po przybyciu. Postęp prac podczas pierwszych kilku dni był raczej wolny, ponieważ nie byłem zaznajomiony z tego rodzaju zajęciem, jak również żaden z pracujących ze mną ludzi. Stopniowo stawaliśmy się jednak coraz bardziej sprawni i tempo poprawiało się. Mimo to skończenie pomiarów zajęło łącznie 2 miesiące, kolejny zaś miesiąc zabrało naniesienie wszystkich informacji na mapę o rozmiarach 60x300 cm, na której oznaczyłem proponowane przeznaczenie gruntu na odpowiednie kolory.

Uznałem, że najbardziej istotne do rozważania powinno być zminimalizowanie erozji gruntu spowodowanej przez gwałtowne burze podczas pory deszczowej, i dlatego wszystkie moje propozycje były ukierunkowane na osiągnięcie tego celu poprzez odpowiednie przeznaczenie poszczególnych parceli w zależności od ich poziomu. Wszystkie grzbiety, odnoszące najwięcej szkód od uderzeń gwałtownych deszczów, powinny spełniać rolę gąbki przyjmującej tyle wody, ile to możliwe, i dlatego zamiast ich uprawiania powinny zostać obsadzone drzewami. Parcele przeznaczone pod uprawę powinny być zabezpieczone przed erozją poprzez zbudowanie rowów, biegnących zgodnie z naturalnym ukształtowaniem terenu, na każde 2 metry różnicy poziomów, i w ten sposób przechwytywać i spowalniać bieg wody, która znajdzie się na dnie dolin, w poprzek których w odpowiednich miejscach powinny zostać zbudowane zapory; zmniejszy to prędkość wody i utworzy zbiorniki z wodą potrzebną później.

Kiedy skończyłem mapę i przygotowałem raport, powiadomiłem główne biuro, gdzie ustalono datę mojego spotkania w Manga z zastępcą ministra rolnictwa z Accra, Johnem Ward, zastępcą ministra leśnictwa z Tamale, Freddie Hughesem, oraz z zastępcą dyrektora

rolnictwa, Billem Billesem, który awansował na to stanowisko po tym, jak opuściłem Pokoase. Spotkanie miało miejsce w Manga w moim biurze, gdzie na ścianie powiesiłem i zaprezentowałem mapę, oraz wytłumaczyłem moje zalecenia. Spotkanie okazało się sukcesem i każdy z obecnych gratulował mi dobrej pracy, ale wtedy zorientowałem się, że wiem więcej o planowaniu przeznaczenia gruntu niż moi dostojni goście.

Po spotkaniu miałem więcej czasu by zapoznać się z moim okręgiem i często jeździłem na trek by odwiedzić wszystkie części Kusasi. Często nocowałem w miejscowych gospodach, znajdujących się niemal w każdej wiosce, i zarezerwowanych wyłącznie dla Europejczyków. Były to proste budynki, składające się z jednego pokoju, wybudowane w taki sam sposób jak lokalne zagrody, z glinianymi ścianami i strzechą, jednym wejściem, oraz znajdującymi się w regularnych odstępach podłużnymi otworami wokół budynku około 120 cm nad ziemią, w celu zapewnienia dobrej wentylacji. Zawsze zabierałem ze sobą łóżko polowe z pościelą i moskitierę, składany stół i krzesło, okrągłą płócienną wannę i lampkę ciśnieniową. Kucharz, który zawsze mi towarzyszył, miał kuchenkę prymusową i kilka garnków, patelni i talerzy, jak również wiadro. Zawsze miał również kilka butelek filtrowanej wody. Po rozładowaniu sprzętu zwyczaj nakazywał spotkać wodza wioski z którym wymieniałem dary. Miałem ze sobą zawsze małe opakowania herbaty, wodzowie zaś niezmiennie obdarowywali mnie jajkami. Spotkania z wodzem odbywały się pod drzewem gdzie ten siedział, składaliśmy sobie grzeczne pozdrowienia i wymienialiśmy dary z pomocą instruktora służącego za tłumacza. Jajka przydawały się na śniadanie dnia następnego, jeśli okazało się, że wciąż są świeże, ale było to raczej rzadkie i pamiętam, że w jednej wiosce otrzymałem hojny dar składający się z 60 jaj, ale musiałem wyjechać bez śniadania, bo wszystkie były zgniłe. Dzięki inspekcji większej części okręgu zyskałem wiarygodne informacje na temat rodzaju upraw i stosowanych w danym rejonie metod kultywacji. Było oczywiste, że aby zwiększyć produkcję żywności należy położyć nacisk na uczenie rolników lepszemu wykorzystaniu dostępnych zasobów bez wprowadzania rewolucyjnych zmian, które nie były praktyczne, oraz wykraczały poza pojęcie miejscowej ludności.

Obszar przeciętnej farmy wynosił 3,5 ha, co stanowiło powierzchnię, którą rodzina była w stanie uprawiać na początku pory deszczowej, używając wyłącznie narzędzi którymi dysponowali, tj. żelaznych motyk na trzonku o długości 60-70 cm. Ziemia na polu była najpierw spulchniana motykami, po czym sadzono ziarna formując kopce o wysokości 12-20 cm usypane z najbardziej żyznej, wierzchniej warstwy gruntu. Najpowszechniej stosowaną uprawą było sorgo i proso, rzadziej kukurydza. Cienka warstwa ziemi stopniowo wydawała coraz mniejsze plony, i kiedy po około 9 latach stawała się zupełnie jałowa, zaprzestawano jej używania i pozwalano odpocząć przez kolejnych 9 lat. Jakkolwiek rolnicy posiadali trochę bydła nawóz nie był używany do użyźniania pól, służył jedynie jako spoiwo w mieszankach z gliną, używanych przy budowie ścian i podłóg nowych zagrod, lub po wysuszeniu jako paliwo. Zwierząt nigdy nie zabijano na mięso, a służyły jedynie jako dowód zamożności właściciela, który mógł ich użyć jako wiano przy okazji kupna nowej żony. Zwyczajowa cena za żonę wynosiła 4 krowy, ale przyszli teściowie byli z reguły wybredni i domagali się jedynie młodych i dużych zwierząt w doskonałym stanie. Jeśli żona uciekłaby od swego męża, co miało zwykle miejsce, gdy po kilku latach nie mieli potomstwa, główną troską męża było odzyskanie wiana. W takim jednakże przypadku buty te nosił już ktoś inny i opuszczony mąż mógł jedynie mieć nadzieję na odzyskanie zwierząt spełniających wymagane kryterium posiadania 4 nóg. Jednym z najbogatszych ludzi, jakiego spotkałem, był Wódz wioski Teshi, mający ponad 200 żon i mimo podeszłego wieku wciąż kupujący nowe, nawet w dzień poprzedzający

zejście z tego świata. Przybyłem do Teshi nazajutrz po jego śmierci i odkryłem, że jego ogromna zagroda miała otwory wybite w krótkich ścianach chałupek, połączonych razem wokół zagrody, a było ich 50 lub więcej, każda zamieszkała przez 4 żony. Kiedy zapytałem Chilallę o przeznaczenie otworów, ten wyjaśnił mi, że według popularnego przesądu duch zmarłego czyha przy głównym wejściu, aby rzucić się na żonę, która była niewierna za jego życia, otwory pozwalały więc wydostać się bez używania głównego wejścia i uniknięcia ewentualnej konfrontacji. Kiedy skomentowałem, że w każdym z pokoi wybito otwór, odpowiedział: „Hmm, był człowiekiem w podeszłym wieku...”, a kiedy zapytałem, czy akceptowane jest posiadanie kochanka przez zamężną kobietę, odrzekł: „Tak, ale trzeba bardzo, bardzo uważać”.

Na moje spostrzeżenie, iż biedni nie posiadający bydła nie mogą się ożenić, George powiedział, że niezbyt piękną żonę można kupić za 4 osły, a kiedy zadałem pytanie dotyczące wymaganego standardu urody, odrzekł: „Cóż, jeśli nie miała wielu kochanków to nie może być zbyt piękna.”

Wkrótce po przybyciu do Manga otrzymałem kilkaset wozów o stalowej konstrukcji, przeznaczonych do ciągnięcia przez woły, oraz dużo pługów, przeznaczonych do dystrybucji wśród rolników. Uznałem to za wspaniałą okazję do zachęcania ich, by zaczęli stosować nawóz, co w innym wypadku miałyby małe szanse powodzenia. Wybrałem dwa sąsiednie gospodarstwa, które postanowiłem uczynić modelowymi, i aby na ich przykładzie zademonstrować pozytywne efekty stosowania bydłowego nawozu i wzrostu otrzymanych plonów. Obiecałem dwóm rolnikom o imionach Musa i Awuni, że dostarczę im potrzebny nawóz z pobliskiego punktu kwarantanny. Trzymano tam spore stado bydła przywożonego z północy a przeznaczone dla Accra przez przynajmniej dwutygodniowy okres kwarantanny, zanim pozwolono przetransportować je przez granicę. Było to konieczne, aby upewnić się, czy nie zostało zainfekowane księgosuszem, wysoce śmiertelną chorobą zakaźną (choroba ta na początku XXI wieku została całkowicie eradykowana). Postawiłem jednakże warunek samodzielnego załadunku i rozładunku ciężarówki przez rolników, ponieważ uznałem, że bardziej to docenią, jeśli będą musieli podjąć wysiłek, niż gdyby otrzymali wszystko za darmo. Wydawało mi się, że oferta jest niezwykle atrakcyjna, ale obaj starali się od tego wykręcić. Podczas rozmowy Musa powiedział mi, że jest za stary by sobie samemu poradzić, a gdy zaproponowałem, by pracowali wspólnie z sąsiadem i w ten sposób wspierali się wzajemnie, Chilalla, który pełnił rolę tłumacza powiedział mi, że to nie jest możliwe, ponieważ Musa pochodzi z plemienia Busanga, Awunia zaś z Kusasi, a te dwa plemiona nigdy nie robią niczego razem. Była to moja pierwsza lekcja panującej między plemionami niechęci, która przejawiała się w wielu innych okolicznościach. Skończyło się to jednak z chwilą, gdy Musa, otrzymawszy nawóz zastosował się do instrukcji, a jego zbiory były tak spektakularne, że Ministerstwo zrealizowało o nim film zatytułowany „Musa, dobry rolnik”, który był pokazywany w wioskach okręgu z ciężarówki wyposażonej w generator i inne akcesoria potrzebne do wyświetlania filmów. Projekcja wywołała niemałą sensację wśród miejscowych, którzy nigdy wcześniej nie widzieli filmu, szczególnie zaś zaskoczeni byli ci, którym Musa był znany osobiście, a teraz mogli go zobaczyć na ekranie.

Pomysł hodowli bydła w sposób inny niż tradycyjny był dla Kusasi niewyobrażalny i dlatego było niezwykle ważne aby pokazać, że użycie go jako siły pociągowej do orania pługiem pozwala oszczędzić wiele wysiłku przy uprawie ziemi, i stąd również zwiększyć ilość ziemi uprawnej jednego gospodarstwa bez dodatkowego wysiłku. Ziemia tradycyjnej farmy stopniowo traciła żyzność częściowo przez wyjąłowanie z niezbędnych związków poprzez



zmniejszanie ich ilości z każdym zbiorem, a częściowo z powodu erozji przyspieszonej gwałtownymi ulewami podczas sezonu wegetacyjnego. Prawidłowe użycie pługa polegało więc na oraniu wyłącznie prostopadle do spadku gruntu. Niemożliwym do zrobienia była niwelacja wszystkich farm w Kusasi przy użyciu niwelatora, dlatego też Ministerstwo sprowadziło z zagranicy małe poziomice, o średnicy 2 i długości 10 cm z dwoma haczykami na końcach, co umożliwiało zawieszenie na 50 metrowym sznurku, rozciągniętym pomiędzy dwoma słupkami o metrowej wysokości. Poziomice takie otrzymał każdy z 23 instruktorów [rolniczych] w Kusasi, dla których zorganizowałem szkolenie z instruktażem użytkowania. Do obsługi tego urządzenia potrzebne były 4 osoby. Instruktor sprawdzał stan libelli i nakazywał odpowiednio przesunąć się dwóm pomocnikom trzymających skrajne słupki w pionie, czwarta zaś osoba niosła pęk kołków, które wbijała używając motyki w punkcie wyznaczonym przez słupki. Następnie wszyscy przesuwali się o 50 metrów i powtarzali zabieg. Kiedy instruktorzy zrozumieli zasadę i nabrali wprawy, wytyczanie poziomicy w terenie przebiegało bardzo sprawnie.

Udało mi się wyperswadować wodzom większości wiosek, by świecili przykładem, i dawałem każdemu wóz i pług z łańcuchem do ciągnięcia pod warunkiem, że zbudują okrągły, otwarty budynek ze ścianami wysokimi na nieco ponad metr, w którym będą trzymać w nocy bydło zamiast pozwalać mu swobodnie się wałęsać. Dodatkowo żądałem by zebrali wystarczająco dużo suchej trawy i uformowali z niej stóg w pobliżu obory, oraz używali jej jako ściółki dla bydła.

Proste jarzmo wykonane z kawałka drewna i haka w środku było łatwe do zrobienia, instruktorzy demonstrowali zaś jak go używać. Zajęło to nieco czasu, zanim zostało zaakceptowane, a wodzowie robili wszystko tylko po to, by mnie zadowolić, ponieważ żaden z nich nie wierzył, że zabiegi te mogłyby im pomóc w jakimkolwiek stopniu.

Potrzeba było roku, aby rolnicy przekonali się, że używanie pługów ciągniętych przez krowy pozwala uprawiać dwukrotnie więcej ziemi, i zastosowanie wozów i pługów zaczęło się przyjmować. Każdy rolnik, który zapisał się na listę oczekujących został poinformowany, że czeka go zaliczenie testu dowodzącego przyswojenia wiedzy hodowli bydła w nowoczesny sposób. Czekano go wykonanie 4 zadań: budowa obory, zebranie odpowiedniej ilości suchej trawy do uformowania stogu wystarczającego dla krów na rok, zamykanie bydła na każdą noc w oborze, oraz wyścielanie podłogi obory świeżą ściółką każdego dnia, gdy krowy udawały się na pastwisko. Instruktor rolniczy zobowiązany był przeprowadzić raz w miesiącu niezapowiedzianą kontrolę, sprawdzić przestrzeganie wszystkich wytycznych i zaznaczyć stwierdzone uchybienia na specjalnym formularzu. Jedynie ci spośród rolników, u których nie stwierdzono żadnych zaniedbań przez cały rok byli brani pod uwagę podczas przydzielania wozów i pługów. Następnie oznaczano linie poziomicy na ich ziemi, oraz udzielano im instruktażu, w jaki sposób należy używać zwierząt do orki.

W pierwszym roku operacji korzyści z używania krów do orki i ich nawozu do użyźniania ziemi nie zostały zrozumiane, zostało złożone jedynie mniej niż 100 wniosków, z których na pługi zakwalifikowało się 11. Jednakże w drugim roku łatwość uprawy poprzez orkę stała się bardziej oczywista, rolnicy zrozumieli zaś zasadność naszych wymagań, wynikiem czego mogliśmy rozdać ponad 100 pługów, liczba wniosków natomiast przekroczyła 300. Ścisłe przestrzeganie narzuconych wymagań przynosiło zyski, ponieważ nawet ci, których wnioski nie zakwalifikowały się, stosowali do nawożenia nieco nawozu, dzięki czemu uzyskali wyższe plony. Projekt odniósł wielki sukces i po pierwszych trzech latach po sprawdzeniu dokumentacji z promowego przejścia na jeziorze Volta okazało się, że nastąpiła gwałtowna

zmiana z poprzedzającego ten okres importu ziarna z południa na jego eksport. Gdy po 5 latach opuszczałem Kusasi na dobre, liczba pługów w użyciu przekroczyła 1000 a korzyści z używania uzyskanego przez gospodarstwa nawozu w celu zwiększenia plonów zostały powszechnie uznane.

Ministerstwo Rolnictwa posiadało osobny oddział zajmujący się ochroną ziarna. Pracowało w nim dwóch urzędników ds. ochrony ziarna, Monte Moore z południowej Rodezji (obecnie Zimbabwe) oraz Jaz Clacy z Republiki Południowej Afryki. Obaj urodzili się i wychowali w Afryce, i czuli się dużo bardziej swobodnie niż urzędnicy przebywający tam na emigracji. Jaz był mężem Jeannie, również z RPA, z którą miał 2-letnią córkę. Jaz i Monte pracowali przy różnych projektach, ale widzieli się stosunkowo często i byli bliskimi przyjaciółmi. Częściej spotykałem Monty'ego, zajmującego się ochroną ziarna i wody w Dziale Planowania Zagospodarowania dla rejonu Bumbugu w Kusasi. Wydział Ochrony Ziarna zatrudniał również tzw. urzędników ds. rozwoju, od których nie wymagano wykształcenia uniwersyteckiego, a którzy zatrudnieni byli przez Urząd Kolonialny na tymczasowe kontrakty, i zajmowali się pomocą Wydziałowi Ochrony Ziarna. Pamiętam jedynie nazwiska dwóch z nich mianowicie Dicka Ashwotha pochodzącego z hrabstwa Lancashire, mówiącego z na tyle mocnym akcentem, że ledwo go mogłem zrozumieć, oraz Grahama Busha, dwumetrowego giganta o ciężkiej budowie, który był bardzo wrażliwy, i z którego Monte i Jaz nieustannie robili sobie żarty. Pamiętam, że gdy pewnego razu siedzieliśmy po obiedzie na zbiorniku, przynieśli wypełnioną do połowy jutową torbę mówiąc Grahamowi, że to jabłka dla niego. Kiedy Graham włożył do środka rękę, krzyknął i podskoczył jak oparzony, bo zamiast jabłek w torbie był sporych rozmiarów pyton. Innym razem we trójkę zatrzymali się w tej samej gospodzie, i gdy Graham położył się, uszczelniając wcześniej moskitierę, tamci dwaj wpuścili mu do środka lisiego nietoperza i równocześnie zgasili lampę. Tego rodzaju nietoperze odżywiają się owocami, są dużych rozmiarów i nie mają futra, mają również okropne pyski przypominające lisa, czemu zawdzięczają swą nazwę. W kompletnych ciemnościach Graham nie wiedział, co się dzieje, czuł jedynie, że coś miota się wokoło, i wystraszył się tak bardzo, że podał moskitierę i połamał łóżko. Pomimo swej delikatności byłby w stanie pozabijać obydwu dowcipnisiów na miejscu, ale kiedy udało mu się uwolnić, odjechał stamtąd i nie pokazywał się przez dwa kolejne dni.

Budowanie zapór oraz terasowanie obu stron dolin zostało zlecone w formie kontraktu komercyjnej firmie przybyłej z Tanganiki (obecnie Tanzania) leżącej we wschodniej Afryce po nieudanym usiłowaniu zrealizowania przedsięwzięcia o nazwie „Plan ziemnych orzechów”, opracowany przez powojenny rząd Clementa Attlee. Szefem przedsiębiorstwa był bardzo zdolny businessman o nazwisku Paton, który dobrze znał się na rzeczy. Firma pracowała na zasadzie koszt plus zysk co oznacza, że wszystkie ich wydatki były opłacane, a jako wynagrodzenie otrzymywali dodatkowy procent od kwoty wydatków. Używali licznych maszyn do prac ziemnych jak koparki, spychacze, równiarki, traktory i ciężarówki, oraz zatrudniali wielu Anglików jako operatorów i kierowców wspomnianych urządzeń.

Każda zapora została zbudowana w formie wału ziemnego, z wąskim płaskim pasem u góry, i zboczami opadającymi na obie strony pod kątem 45°. Miejsca budowy zapór zostały wybrane przez urzędnika ds. ochrony ziarna, który również je zaprojektował. Wszystkie zapory ziemne musiały posiadać nieprzepuszczalny gliniany rdzeń, biegnący w poprzek doliny w środku nasypu, do głębokości sięgającej podziemnej warstwy skał. Koparka wybierała ziemię z szerokiego na metr wykopu na pożądaną głębokość, po czym stopniowo wypełniano go ubitą gliną, której zadaniem było stworzyć przeszkodę podziemnemu przeciekaniu wody z

przyszłego zbiornika na drugą stronę zapory. Cała górna część zapory była płaska z wyjątkiem przepustu, znajdującego się przy jednym z jej końców, niższego od jej płaszczyzny o pół metra i szerokiego na 3,5 metra, który pozwalał wypłynąć nadmiarowi wody w bezpiecznym i kontrolowanym punkcie, zapobiegając uszkodzeniu tamy. Strome zbocza zapory zabezpieczone były przed erozją nasadzeniem traw, co odbyło się zaraz po zakończeniu budowy. W rejonie Bumbugu musieliśmy zbudować przynajmniej 4 tamy co spowodowało rozciągnięcie planowanych zbiorników do 3 kilometrów. Zbocza dolin zostały przekształcone w terasy, po 6 z każdej strony, każda ze spadkiem 60 cm przy szerokości 45 metrów. Terasy zostały zbudowane przy pomocy olbrzymich równiarek, które wykonały głęboki rów wzdłuż grzbietu wzniesienia i umieściły zebraną ziemię na dole, co zmuszało wodę opadową do płynięcia wzdłuż linii wyznaczanych przez poziomicę. Brytyjscy operatorzy sprzętu do robót ziemnych pracowali na kontraktach, mieszkali w bungalowach wynajętych przez ich kompanię, a umowa, którą każdy z nich zawarł przewidywała pozostawienie rodzin, jeśli takowe posiadali, w Wielkiej Brytanii. Było ich chyba trzech lub czterech, ale pamiętam jedynie imiona dwóch z nich. Rocky był mechanikiem zaś Eddie jednym z kierowców. W owym czasie byłem już żonaty i Rosamond zaprosiła ich raz na obiad. Kiedy później, pijąc drinka na dachu zbiornika rozmawialiśmy, konwersacja zesłała na temat słoni i Eddie rzekł, iż wydaje mu się, że ich ciosy są zrobione ze skompresowanego powietrza (air), co wprawiło Rosamond w osłupienie, dopóki się nie zorientowała, że Eddie jako Cockney (mieszkańcy pewnej części Londynu, mówiący w bardzo nietypowy i charakterystyczny sposób) nie wymawia „h” (hair to włosy). Wspomniałem już wcześniej, że jazda samochodem po wyboistej i pokrytej kurzem drodze było istną męką, chyba że jechało się 80 km/h, przy której to prędkości pojazd przeskakiwał nad nierównościami, a wstrząsy były o wiele mniejsze. Niestety afrykańskie ciężarówki były stare, zazwyczaj przeładowane i kiepsko o nie dbano, w związku z czym ich prędkość rzadko przekraczała 50 km/h. Kiedy przytrafiało się jechanie za inną, trzeba było zwolnić i nabrać dystansu, gdyż pojazd wzbijał zawsze długi i gęsty pióropusz, co czyniło wyprzedzanie praktycznie niemożliwym. Kilka dni po wspomnianym przeze mnie obiedzie Eddie znalazł się w podobnej sytuacji, jadąc swym jeepem za ciężarówką. Starając się ją wyprzedzić zderzył się czołowo z ciężarówką jadącą z przeciwka i zginął na miejscu.

Gdy tamy zostały już wreszcie zbudowane i napełnione podczas kolejnych pór deszczowych, poziom wód gruntowych na dnie dolin znajdował się blisko powierzchni i wystarczyło wykopać studnię głębokości 1-1,5 metra by mieć zaopatrzenie w wodę bez względu na porę roku. By zachęcić do nawadniania ogródków warzywnych z używając wody przygotowałem ogródek modelowy w pobliżu wiatraka przy zbiorniku w Manga, od którego odchodziły liczne betonowe kanały rozprowadzające wodę a łączące się z bocznymi kanałami nawadniającymi poszczególne pola. Poziom wody w kanałach był wyższy niż poziom pól, i rozprowadzanie wody odbywało się przez podnoszenie lub opuszczanie śluz, w które kanały były wyposażone, co pozwalało na łatwe nawadnianie miejsca, które tego wymagało. Hodowaliśmy warzywa takie jak pomidory, sałatę rzymską, piżmian jadalny i kapustę, które radziły sobie całkiem dobrze w miejscowym klimacie, zaopatrzyliśmy więc w sadzonki instruktorów, do których należało również propagowanie ogrodnictwa. Podczas pory deszczowej rolnicy byli całkowicie pochłonięci obsadzeniem i uprawą swych pól, ale przez pozostałe 8 miesięcy mało co mieli do roboty, z wyjątkiem uczestnictwa w pogrzebach i jarmarkach. Większość rolników nie zdawała sobie sprawy, że warzywa istnieją, i nie było łatwo przekonać ich, że te mogą być hodowane podczas pory suchej i stanowią zdrowe pożywienie. Wszystkie nasze nasiona zostały sprowadzone z Anglii i posadzone w ogrodzie w

Manga, sadzonki mogliśmy więc rozdawać za darmo wszystkim chętnym. Ogrody, do zakładania których zachęcali instruktorzy były prostym przedsięwzięciem składającym się z jednego lub więcej spłachetka ziemi leżącego w obniżeniu terenu w pobliżu wcześniej wykopanej studni, nawadnianie zaś odbywało się za pomocą rąk przy użyciu tykwy odpowiednich rozmiarów. Stopniowo coraz więcej rolników postępowało zgodnie z naszymi wskazówkami, i projekt zakończył się wielkim sukcesem. Zanim wyjechałem z Afryki na dobre, można było znaleźć świeże warzywa takie jak pomidory, zielona cebulka i piżmian jadalny praktycznie na każdym targu w Kusasi.

Wspomniana przeze mnie wcześniej Hase Cameron, którą poznałem i z którą zaprzyjaźniłem się na statku płynącym na Złote Wybrzeże, zapraszała mnie do siebie często przez okres pierwszych trzech miesięcy po przybyciu, gdy mieszkałem w Pokoase. Poznałem również jej męża Petera, mieszkającego podówczas w Accra. Wyjeżdżali na urlop mniej więcej w tym samym czasie co ja, i będąc w Anglii zaprosili mnie na weekend do swojego domu nazwanego Charity Farm gdzieś w hrabstwie Gloucestershire. Właśnie wtedy poznałem Rosamond Gladstone, z którą ożeniłem się 18 marca 1952. Przed powrotem na Złote Wybrzeże Rosamond kupiła Citroena, który został następnie załadowany na statek płynący do portu w Takoradi (ok. 200 km na zachód od Accra). Stamtąd jechaliśmy na północ Citroenem do Kumasi, gdzie w Ministerstwie Robót Publicznych zostawiłem swojego Commera. Z Kumasi jechaliśmy konwojem, ja w ciężarówce z przodu, Rosamond zaś za mną w odpowiedniej odległości, by unikać wzbijanego kurzu. Wycieczki nie wspominam dobrze. Wkrótce po wyjeździe złapałem pierwszą gumę, zatrzymałem się więc i zmieniłem koło, ale nie odjechaliśmy daleko gdy złapałem kolejną, więcej zapasowych kół zaś już nie miałem. Załatałem dętkę, lecz przy kolejnej gumie okazało się, że nie mam więcej łątek, i musieliśmy jechać razem do pobliskiej wioski by znaleźć kowala, który mógłby naprawić koło. Stało się oczywistym, że podczas długiego postoju pick-upa w Ministerstwie Robót Publicznych nikt o niego nie zadbał i stał on na własnych kołach zamiast na podłożonych klockach, co było zazwyczaj praktykowane, i stan opon bardzo się pogorszył. W sumie złapałem gumę 11 razy, podróż zaś trwała o wiele dłużej niż zakładałem. Dla Rosamond była to twarda szkoła życia w Afryce, poradziła jednak sobie z tym doskonale, podobnie jak i pozostałym okresie pobytu na Złotym Wybrzeżu. Kiedy w końcu dotarliśmy do Tamale, mogłem wreszcie wymienić wszystkie dętki i opony w lokalnej agencji, i pozostałe 650 kilometrów przebyliśmy bez dalszych problemów. Odbyliśmy też inną godną pamięci przejażdżkę w czerwcu 1953, Rosamond była w ciąży i zdecydowaliśmy, że dziecko powinno urodzić się w Anglii. Było to na początku pory deszczowej, i droga prowadząca do promu na jeziorze Volta została na jednym odcinku zupełnie rozmyta przez deszcz, i przejazd tamtędy Citroenem nie był możliwy. Za naszym samochodem jechała z Manga należąca do stacji ciężarówka wyładowana robotnikami i drewnianymi belkami, i kiedy dotarliśmy do przeszkody, ludzie ci umieścili Citroena na belkach i przenieśli go na drugą stronę, gdzie mogliśmy kontynuować podróż. Przy promie utworzyła się ogromna kolejka lokalnych ciężarówek, ponieważ zaś poziom rzeki był wyższy od normalnego o 10 metrów, minęłyby wieki zanim nadeszłaby nasza kolej. Niechętnie posłużyłem się łapówką, dzięki czemu umieszczono nas na samym przodzie kolejki. Pozostała część podróży odbyła się bez niespodzianek, przybyliśmy na lotnisko w Accra w samą porę, by Rosamond zajęła miejsce w samolocie „Argonaut” udającym się w 22-godzinny lot do Londynu. Dotarła tam na czas, a tydzień później otrzymałem od niej telegram z wiadomością, że nasza córka Diana urodziła się w londyńskiej klinice 2 lipca 1953. Wkrótce potem gotów byłem do wyjazdu, i tym razem wsiadłem w samolot, by przybyć do Anglii tak szybko, jak to możliwe. Lot ciągnął się w nieskończoność, turbośmigłowy „Argonaut”

dwukrotnie lądował, by tankować, ale dotarłem do Londynu zgodnie z rozkładem i spotkałem Rosamond i Dianę zakwaterowane w apartamencie przy Colherne Court, który Rosamond wynajęła na czas naszego pobytu w Anglii. We właściwym czasie Diana została ochrzczona w kaplicy w Brompton, mamą chrzestną została moja szwagierka Wanda, ojcem chrzestnym zaś dowódca Armii Krajowej generał Bór-Komorowski, w zastępstwie reprezentowany przez swojego syna, Adama.

Wspomniany wcześniej Mensah, mój pierwszy kucharz, robił wszystkie zakupy żywnościowe, dostępne lokalnie, takie jak jajka, które zawsze należało najpierw otworzyć i sprawdzić, czy są świeże, i z tego powodu mogły być spożywane tylko smażone lub użyte do omletów, koźlinę lub inne mięso, kurczęta i olej palmowy, oraz maniok i słodkie ziemniaki dla służących, lub inne produkty używane przez nich do jedzenia. Nie mieszałem się do jego gotowania i jadłem wszystko, co kładł na stole. Jedyna dostępna wołowina pochodziła od zwierząt padłych na jakąś chorobę lub ze starości, dlatego w ogóle jej nie jadłem. Owce i kozy wyglądały dokładnie tak samo, i odróżnić je można było jedynie po tym, że ogon pierwszych wisiał, a drugich sterczał, mięso natomiast smakowało niemal identycznie. Pewnego dnia, gdy brałem butelkę piwa z lodówki, zauważyłem pazur wystający z papierowego pakunku. Kiedy odkryłem, że w papier zawinięty jest szczur, zapytałem Mensah cóż to takiego, a ten odpowiedział, że kupił go na obiad dla mnie. Od tego czasu zawsze upewniałem się co do składników każdego posiłku. Jajka pochodzące od miejscowych kur były stosunkowo małe, i moje przeciętne śniadanie składało się z 6 z nich, zazwyczaj usmażonych. W niedzielę, kiedy to odwiedzaliśmy się i przyjmowaliśmy gości na obiad, zwyczajem było podać danie nazywane „olej palmowy”, które było rodzajem drobiowej potrawy w oleju palmowym przyprawionej bardzo ostro papryczkami chilli lub curry, do którego każdy dodawał wedle uznania siekane pikle, warzywa, cebulę, ostre papryczki, piżmian jadalny, koprę (bielmo orzechów kokosowych) etc. z małych talerzy podawanych sobie wokół stołu. Po ożenku nająłem miejscowego chłopca imieniem Salifu, mającego pewne doświadczenie w pracy dla Europejczyków jako chłopiec na posyłki, i awansowałem go na stewarda z miesięczną płacą 5 funtów. Okazało się, że doskonale sobie radzi i został ze mną do samego końca.

Bardzo szybko zaczęto mi mówić, że dobrym pomysłem byłoby zatrudnienie chłopca na posyłki, który nie kosztowałby wiele, a który mógłby czasem pomagać służącym w ich obowiązkach. Odłożyłem tę sprawę na później, ale w końcu spytałem Chilallę czy mógłby mi kogoś polecić, ten zaś przysłał chłopca z Kusasi o imieniu Mumuni, którego nająłem za 1,5 funta, i chociaż zorientowałem się później, że przepłaciłem, to okazał się być bardzo miły i posłuszny. Kiedy zaczął już pracować stało się dla mnie jasne, dlaczego pozostali dwaj służący z uporem prosili o dodatkową parę rąk do pracy. Od tego czasu prawie nic nie robili, przekazując niemal wszystkie obowiązki Mumuni. Było mi go żal, ale nigdy nie narzekał, i była to przyjęta kolej rzeczy w zdobywaniu przez służących doświadczenia. Europejczycy zawsze płacili więcej i było ogólnie wiadome, że czarni urzędnicy, o profesji lekarzy lub innych, płacili tylko połowę tego, co emigranci. Wielu białych uważało, że murzyni są wykorzystywani przez swoich kolonialnych panów, co moim zdaniem nie jest prawdą, ponieważ gdyby wziąć pod uwagę zdolności produkcyjne pracowników, okazywało się, że wynagrodzenie czarnych było wyższe niż białych. Gdy po wyemigrowaniu później do Kanady zacząłem pracować dla firmy budowlanej, mogłem porównać wydajność białych kanadyjskich murarzy z ich murzyńskimi odpowiednikami: porównując ilość wymurowanej ściany, wykonanej przez murarza w ciągu jednego dnia, stało się dla mnie jasne, że murarze na Żółtym Wybrzeżu zarabiali więcej.

Dodatkowo oprócz wspomnianych służących zatrudniłem ogrodnika Awuni, chłopca z Busanga, do którego należało przycinanie trawy, utrzymywanie porządku w zagrodzie i dogłądanie mojego konia, kasztana imieniem Winston. Nie jeździłem na nim zbyt często, trenował go natomiast regularnie Salifu, jeżdżąc na oklep wokół stacji, by utrzymać go w dobrej formie i nie pozwolić się roztyć.

Miałem też jedno nietypowe zwierzę, mianowicie koronnika czarnego (gatunek żurawia) o imieniu Evelyn. Kupiłem go jeszcze jako pisklę za 10 szylingów od miejscowego, który niósł w torbie na sprzedaż dwa ptaki. Kupiłem jednego i umieściłem w zagrodzie z kurczętami, gdzie był karmiony wraz z resztą ptactwa, i od którego nauczył się kurzych manier, bo wraz z nimi czekał zawsze cierpliwie przy bramie na jej otwarcie i możliwość wyjścia na otwartą przestrzeń. Postępował tak samo nawet wtedy, gdy był już na tyle wysoki, że mógł przejść ponad ogrodzeniem opasującym zagrodę. Gdy dorósł, stał się bardzo piękny mając białe upierzenie i czarne skrzydła, głowę zaś szczególnie imponującą. Policzki były czerwone, ich kolor stawał się głębszy gdy ptak był zadowolony, czubek głowy natomiast był fioletowy z 6 lub 8 złotymi kępkami pośrodku. Kiedy był wypuszczony a my siedzieliśmy na zbiorniku, wspinał się do nas i zaczynał bawić łapiąc mnie dziobem za uszy i włosy, czasami zaś wypijał trochę piwa z dzbanka. Jego ulubioną zabawą były moje starania, by nauczyć go latać, kiedy podnosiłem go dwiema rękami i podrzucałem najwyżej jak mogłem, on zaś trzepotał skrzydłami i lądował gdzieś na trawniku, po czym natychmiast wdrapywał się po schodach żądając kolejnej próby. Kiedy zupełnie dorósł i umiał już latać, towarzyszył mi w drodze do biura, gdzie siadał na dachu i czekał na powrót do doliny na karmienie. Stał się zupełnie niezależny, ale każdego wieczora wracał do domu na swoją ulubioną zabawę, i dopiero gdy robiło się ciemno odlatywał na dach, gdzie spędzał całą noc, trąbiąc głośno gdy ktoś zbliżał się do domu. Towarzyszył mi wszędzie, i czasami był moim utrapieniem. Pewnego popołudnia postanowiłem posadzić długi żywopłot wzdłuż frontowego trawnika, i przygotowałem podłużny pas ziemi, w którym zacząłem umieszczać 25-centymetrowe sadzonki krzewów oleandra. Było ciężko pracować tak w skwarze dnia, cieszyłem się więc zakończeniem pracy, a gdy odwróciłem się by podziwiać efekt swych wysiłków, zobaczyłem Evelyn podążającego za mną i wyciągającego z ziemi każdy zasadzony przeze mnie krzaczek. Innym razem, gdy czyszcząc gaźnik ciężarówki rozebrałem go na drobne części, rozkładając je uważnie na kawałku kartonu leżącego na ziemi, nagle Evelyn porwał dziobem jedną z dysz. Dzięki szybkiej reakcji udało mi się odzyskać część, zanim została zgubiona podczas gonitwy. W przypadku straty musiałbym starać się o nią w najbliższej agencji w Tamale, od której byłem oddalony o 300 km. Kiedy wyjeżdżałem na dobre, opowiedziałem całą historię Johnowi Gray, który przyjechał aby mnie zastąpić, i od którego otrzymałem później w Anglii list informujący, że wkrótce po moim wyjeździe Evelyn dołączył do grupy żurawi żerujących w dolinie, na noc zaś wracał na dach domu.

Po przybyciu Rosamond zacząłem przykładać większą wagę do zaopatrzenia w żywność, i często wyjeżdżaliśmy Citroenem ze strzelbą kaliber .22 (rodzaj sportowej strzelby kalibru 5,6 mm, naboje jak do kbks), żeby upolować jakieś ptactwo na obiad lub kolację. Najprostsze do upolowania były perlice, siedzące w grupach zazwyczaj na gałęziach wysokich drzew, ale jednorazowo można było ustrzelić tylko jedną, bo reszta odlatywała i siadała na ziemi lub innym wysokim drzewie. Wspaniale smakowały i stanowiły nasz ulubiony gatunek dzikich ptaków. Innym gatunkiem, który można było ustrzelić, były ptaki zwane przez miejscowych perlicami krzakowymi, przypominające kuropatkę. Dużo trudniej było je wypatrzeć, ponieważ zazwyczaj chowały się w trawie, i znalezienie ich wymagało długiego chodzenia. W mokrych dolinach można było napotkać drzewice indyjskie

(Whistling Teals), które były jedynymi kaczkami, jakie widziałem w tej części świata. Przylatywały do zbiorników żerować, podczas lotu zaś emitują przejmujący gwizd, skąd biorą swą nazwę [Tadeuszowi chodzi o nazwę angielską]. One również smakowały wysmienicie, i jadane wymiennie z perlicami stanowiły podstawowy składnik naszej diety. Ich mięso było o niebo lepsze od drobiu i koźliny dostępnych na lokalnym targu. Podczas niektórych z naszych wypadów jeździliśmy na brzeg dużego jeziora lub rzeki, gdzie można było zobaczyć krokodyle. Rzadko widywaliśmy je na brzegu, a kiedy pływały, można było dostrzec jedynie ich oczy wystające z wody. Na początku mego pobytu próbowałem zastrzelić jednego przy użyciu strzelby kaliber .404 (10,75 mm), ale nigdy więcej tego nie zrobiłem gdy powiedziano mi, że mieszkają w nich duchy przodków. Podobne wierzenia dotyczyły również pytonów, i w związku z tym przypomina mi się ciekawe przeżycie. Pewnego ranka, gdy jechałem do biura, zauważyłem sporą grupę pracowników stacji przy wejściu do owczarni. Kiedy zapytałem, co się stało, odpowiedzieli, że jest tam olbrzymi wąż pożerający owcę. Wszedłem do środka, gdzie z powodu małych okienek było bardzo ciemno, ale kiedy moje oczy zaadaptowały się do panujących warunków, spostrzegłem dużego pytona, który zdążył już połknąć jedną z owiec i właśnie pożerał następną. Wyszedłem na zewnątrz i zapytałem, czy jest to czyjś przodek, czy też mogę zabić pytona, na co odpowiedziano mi, że jest to złodziej, a więc nie może być niczym przodkiem i nic nie stoi na przeszkodzie, aby go zabić. Usłyszawszy to pojechałem do domu po strzelbę, zabrałem 3 naboje i wróciłem na miejsce. Po wejściu do owczarni wycelowałem w głowę węża i wystrzeliłem, ale było zbyt ciemno, abym mógł to zrobić dokładnie i spudłowałem 3 razy. Nie chciałem znów jechać do bungalowu po więcej amunicji, wyszedłem więc po tęgiego kija, którym zamierzałem zdzielić i zabić węża. Pierwsze uderzenie, które podobne było do walnięcia opony, tak wstrząsnęło wężem, że wypluł owcę, która w połowie była już w środku, po czym próbował zaatakować mnie wielkimi kłami, z szeroko otwartym pyskiem. Oczywiście nie mogłem poruszać się bardzo szybko, mając pierwszą owcę wewnątrz ciała, tłukłem go więc dalej po głowie, gdy nagle zwymiotował pierwszą owcę. W panice udało mi się mu zadać śmiertelny cios, po którym złapałem go za ogon i wywlokłem na zewnątrz owczarni na światło dzienne. Kiedy wąż znów zaczął się poruszać, wziąłem maczetę i obciąłem mu łeb. Następnie kazałem zdjąć z niego skórę, kiedy nagle jeden z pracowników powiedział, że zabiłem jego dziadka. Zapytałem, dlaczego nie powiedział wcześniej, że to jego dziadek, na co ten odpowiedział, że nie mógł go dokładnie oglądnąć w ciemnej owczarni. Dodał, że czekają mnie spore kłopoty, bo dziadek na pewno zemści się. Zdarzenie miało miejsce w piątek, a w sobotę zdecydowaliśmy się udać z wizytą do naszego przyjaciela we francuskim Togoland, o imieniu Chaumail, który był francuskim komendantem okręgu zwanego Dapango. Pojechaliśmy moim nowym samochodem Humber Hawk, Rosamond siedziała na fotelu pilota, a Monte Moore z tyłu. Droga była wąska, wiała się przez obszar porośnięty dwumetrową trawą, co znacznie ograniczało widoczność. W pewnym momencie zauważyłem ciężarówkę jadącą z przeciwka, próbowałem więc zjechać na bok, ale nie mogłem z powodu stromych krawędzi drogi, Zatrzymałem więc samochód, ciężarówka jednak jechała nadal. Zderzyliśmy się czołowo a konsekwencje były poważne. Rosamond odniosła głęboką ranę głowy po uderzeniu nią w deskę rozdzielczą, ja złamałem kość prawego nadgarstka, Monte zaś rozciął dolną część ust po uderzeniu w przedni fotel. Samochód nadawał się do kasacji. Ciężarówka zabrała nas do szpitala w Bawku, gdzie zajął się nami nasz przyjaciel, dr John Barlow. Rosamond otrzymała kilka szwów rany głowy, wargę Monte'go została przyszyta, a ja otrzymałem na 3 miesiące gips, założony na nadgarstek. Kiedy wróciliśmy do Manga nikt nie był zdziwiony. To dziadek się zemścił!